

Nr 4 (143) – B Rok 24

Lipiec-Sierpień 2018



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI NA UKRAINIE

Wołanie z Wołynia

Воляння з Волині

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** – *Воляння з Волині*
Pismo założone w 1994 roku. Założyciel i wydawca: Parafia Rzymskokatolicka
pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu.

Redaktor naczelny: ks. Vitold-Yosif Kovaliv.

Redakcja: Irena Androszczuk, ks. Władysław Czajka, Irena Dejneka,
ks. Grzegorz Draus, Maria Kalas, Jarosław Kowalczuk, Ludmiła Poliszczuk,
ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak, ks. Andrzej Ścisłowicz.

Redakcja publikuje materiały nie zawsze podzielając poglądy ich autorów.

Zamieszczone w piśmie materiały mogą być przedrukowywane z podaniem źródła.

Adres redakcji:

✉ вул. Князів Острозьких, 4-а
35800 м. Остріг, Рівненська обл.
Україна

☎ & Fax + 380 (3654) 2-30-38

E-mail: vykovaliv@gmail.com

Świadectwo rejestracji: RW nr 187
z 15 maja 1997 r.

ISSN 1429-4109

Adres oddziału redakcji w Polsce:

✉ Ośrodek “Wołanie z Wołynia”,
skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin
<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>

Dobroczynców prosimy o wpłaty na konto:

Stowarzyszenie Ośrodek

“Wołanie z Wołynia”

PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC
nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001

~ ~ ~ ~

“Wołyński Słownik Biograficzny”:

<http://wolynskisloownikbiograficzny.blox.pl/>

„Dziennik pisany nad Horyniem”

<http://ostrog.blox.pl/>

Jesteśmy w Facebook’u:

<https://www.facebook.com/Wolanie/>

SPIS TREŚCI

- s. 3-7: Ks. Vitold-Yosif KOVALIV vel ks. Witold Józef KOWALÓW, *«Nie o zemstę, lecz o pamięć wołają»*. *Modlitewne wołanie o pojednanie polsko-ukraińskie*
- s. 8-10: O. Paweł FERKO OCD, *Matka Boża Berdyczowska (2/7): Najstarsza historia*
- s. 11-16: Henryk DĄBKOWSKI, *Radość Apostoła*
- s. 17-26: Maria KALAS [rozmawiała], Ks. Józef Kuczyński, *proboszcz barski*
- s. 27-28: Ирина САШКО, *«Отець Джеймс Бонд»*. *Вийшла книжка про о. Владислава Ванатса*
- s. 29-38: Maria KALAS, *Stefan Barczak – zapomniany poeta grupy literackiej Wołyń*
- s. 39: Ks. Vitold-Yosif KOVALIV vel ks. Witold Józef KOWALÓW, *Mała historia – wielcy ludzie – Kościół*
- s. 40: Stefan BARDCZAK, *Równa nocą*
- s. 41-46: Zbigniew Waldemar OKOŃ, *Z ziemi cmentarnej*
- s. 47-48: *Litania do bł. ks. Władysława Bukowińskiego*

Poprzednie numery z tego roku oraz roczniki 2010-2017 „Wołania z Wołynia” w wersji elektronicznej są dostępne pod adresem:
http://www.duszki.pl/wołanie_z_wołynia/
<http://kresy24.pl/archiwum-pisma-wołanie-z-wołynia/>

Uprzejmie dziękujemy za pomoc w digitalizacji archiwum naszego czasopisma Śląskiej Bibliotece Cyfrowej:
<https://www.sbc.org.pl/>
 Nie jesteśmy w stanie odpowiadać na wszystkie listy. Przepraszamy.
 Redakcja «Wołania z Wołynia»”



Rzeczpospolita Polska
 Ministerstwo
 Spraw Zagranicznych



Projekt jest współfinansowany ze środków finansowych otrzymanych z Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP w ramach konkursu na realizację zadania „Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2018 r.” za pośrednictwem Fundacji „Wolność i Demokracja”

З життя Католицької Церкви - З життя Церкви

«NIE O ZEMSTĘ,
LECZ O PAMIĘĆ WOŁAJĄ»
Modlitewne wołanie
o pojednanie polsko-ukraińskie



Ks. Witold Józef Kowalów z Wołynia wygłosił do zgromadzonych homilię, w której odniósł się do tragicznych wydarzeń sprzed 75 lat

Fot. Gosc.pl

Kazanie wygłoszone 8 lipca 2018 r. w kościele pw. św. Jana Chrzciciela w Legnicy na Mszy św. z okazji 75. rocznicy Ludobójstwa Polaków na Wołyniu.

„Wołyni trzeba rozumieć i znać” – pisała wybitna polska pisarka Zofia Kosak w przedmowie do książki Marii Po-

ziomskiej pt. „Z motyką na słońce” (Poznań 1939, s. X).

Drodzy Bracia i siostry!

Modlimy się w intencji ofiar Ludobójstwa Polaków na Wołyniu. W tym roku jest to kolejna, 75 rocznica krwawej Niedzieli

na Wołyniu, kiedy w 99 miejscowościach, w niedzielę 11 lipca 1943 r. mordowano polskich mieszkańców na Wołyniu.

Żeby zrozumieć Wołyń, trzeba wiedzieć o rzezi wołyńskiej, której z kolei nie można zrozumieć. Ludobójstwo na Wołyniu było nielogiczne. Opętanie. Amok. Owszem, odbyła się czystka Polaków z tego terenu. Na Wołyniu niewiele pozostało Polaków. Ale po co, w jakim celu, nacjonaści ukraińscy zabili w Tajkurach staruszkę, która miała ponad 100 lat. Przecież za niedługo zmarłaby śmiercią naturalną...

„Gdzie są nasze groby?” – pytał swego czasu p. Leon Popek z IPN-u w Lublinie. – Tych zamordowanych np. w Tajkurach część pochował na miejscu ks. Walerian Głowacz, a część na cmentarzu w Zdołbunowie. Wspomniany ks. Głowacz, jak pochował swoich zamordowanych parafian i zapisał te fakty w brudnopisie książki zmarłych, sam (zachorował) załamał się psychicznie i udał się do Zdołbunowa.

Uznanie i potępienie zbrodni wołyńskiej jest jeszcze mocniejszym wezwaniem do modlitwy o pojednanie.

Gdy modlimy się o pojednanie, to pozwalamy aby w nas zaistniała autentyczna chęć poznania odmienności drugiego, nawet, gdy nie zgadzamy się z jego poglądami, nie przyjmujemy jego wersji zaistniałych wydarzeń.

Chociaż niektórzy twierdzą, że pojednanie polsko-ukraińskie jest niepotrzebne, to proces ten trwa od ponad dwudziestu lat. Nie wiem jak tutaj w Legnicy, ale u nas na Wołyniu ten wątek – POJEDNANIE – jest częścią naszej pracy, jest częścią naszego życia. Tak jak na początku Mszy św. jest Akt Pokuty, tak w naszej pracy od początku jest wątek pojednania.

Wydarzenia sprzed siedemdziesięciu pięciu lat wciąż dzielą i wzbudzają wie-

le emocji. Na Wołyniu pamiętamy o tych tragicznych wydarzeniach. Odprawiamy nabożeństwa, modlimy się, odpowiadamy na każdą prośbę, jeśli ktoś z Polski przyjedzie i prosi, żeby odprawić nabożeństwo czy poświęcić postawiony krzyż, czy odnowiony grób. To jest normalna i naturalna dla nas księży sprawa.

«NIEDOKOŃCZONE MSZE ŚW. WOŁYŃSKIE»

Na pamiątkę Krwawej Niedzieli – 11 lipca 1943 r. – odprawiane są corocznie na Wołyniu i w Polsce tzw. «Niedokończone Msze św. wołyńskie». Często towarzyszą im konferencje i sympozja naukowe. Inicjatorami takiego obchodzenia bolesnych rocznic ludobójstwa Polaków na Wołyniu był poprzedni ordynariusz rzymskokatolickiej diecezji łuckiej ks. bp Marccjan Trofimiak oraz p. prof. Włodzimierz Osadczy z Lublina.

Od kilku lat funkcjonuje też zarządzenie naszego byłego ordynariusza ks. biskupa Marccjana Trofimiaka, zatwierdzone w Rzymie, że w drugą niedzielę lipca odprawiane jest nabożeństwo żałobne w każdej parafii, w każdym kościele, w intencji ofiar rzezi wołyńskiej. Honorujemy więc tę symboliczną datę 11 lipca, kiedy nastąpiła kulminacja rzezi na ludności polskiej na Wołyniu. Poza tym obchodzone są rocznice mordów w poszczególnych miejscowościach. Do niektórych miejsc są organizowane pielgrzymki z Polski, w których uczestniczą rodziny pomordowanych, i coraz rzadziej ci, którym udało się cudem ująć z życiem. Bierzemy udział w tych uroczystościach, odprawiając nabożeństwa czy w Ostrówkach, Porycku, w okolicach między Kostopolem a Sarnami, Hucie Stepańskiej czy Janowej Dolinie. Takim przykładem mogą być uroczystości organizowane przez pana Janusza Horszkie-



W uroczystościach wzięli licznie udział mieszkańcy Legnicy. Wielu z nich lub ich rodzin dotknęła tragedia Rzezi Wołyńskiej

Fot. Gosc.pl

wicza w okolicach Huty Stepańskiej, do uczestnictwa w których był zaproszony ks. bp Marcjan, ks. Władysław Łukasiewicz z Sarn i wielu innych księży z okolic. Nie sposób wymienić tutaj wszystkie miejsca zbrodni na Polakach... W Ostrogu, gdzie jestem proboszczem, Polacy mieli szczęście. Zamordowano wprawdzie 38 osób na ul. Tatarskiej, ale spowodowało to powstanie samoobrony polskiej. UPA nie odważyła się zaatakować Ostroga w czasie, kiedy Niemcy i Węgrzy wyszli z miasta, a Sowietci jeszcze nie wkroczyli. To był grudzień 1943 r. i styczeń 1944 r., najgorszy czas dla Polaków na tym terenie. Ale jak wspomina o. Remigiusz Kranc, wcześniej wiele polskich wiosek dosłownie zniknęło z mapy między Ostrogiem, Zdołbunowem, a Krzemieńcem. To był obszar, na którym bardzo aktywnie działała UPA.

NIE TYLKO CI MĘCZENNICZY WOŁYNIA

Wśród Męczenników Wołynia okresu II wojny światowej mamy 55 księży, zakonników i zakonnic.

Jak złożona jest sytuacja w podchodzeniu do problemu męczeństwa polskiego duchowieństwa na Wołyniu pokazują dwa fakty, na które chcę zwrócić uwagę:

1^o Pierwsza sprawa: z czyich zginęli rąk? I tutaj pewnie niektórzy się zdziwią: mniej więcej po równo zginęli oni z rąk Sowietów, Niemców i nacjonalistów ukraińskich. Dlatego – PRZEPRASZAM – kiedy mówimy o męczennikach Wołynia nie powinniśmy ich dzielić; wspominać jednych i zapominać o drugich. Nie możemy traktować jednego męczeństwa jako «lepszego», a drugiego jako «gorszego». Śmierć śmierci nie równa, ale paradoksalnie ta śmierć ich zrównała.

2° Drugi fakt. Aktualnie prowadzony jest tylko jeden proces beatyfikacyjny męczennika z Wołynia – o Ludwika Wrodarczyka OMI, który został zamordowany przez Ukraińców na Polesiu Wołyńskim.

KS. ZYGMUNT CHMIELNICKI

Diecezja łucka na Wołyniu posiada jednego męczennika, który zginął na terenie diecezji legnickiej, tak LEGNICKIEJ! Jest nim wybitny kapłan ks. Zygmunt Chmielnicki, który dokonał swego żywota w hitlerowskim obozie koncentracyjnym Gross-Rosen.

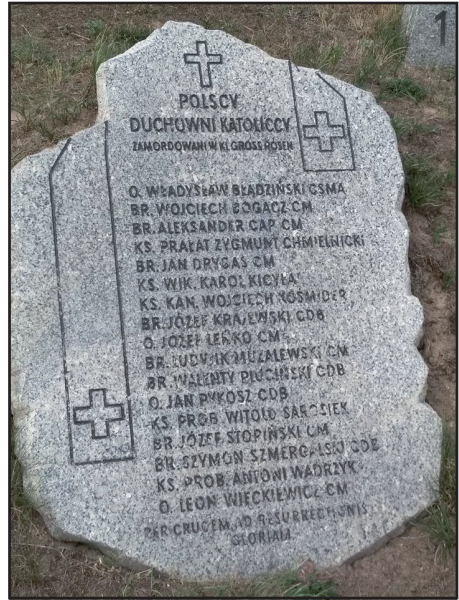
Bylibyśmy bardzo wdzięczni za podjęcie tego tematu i rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego tego heroicznego kapłana, który w latach 30. XX wieku wydawał w Łucku dwutygodnik «Życie Katolickie» i był oddanym współpracownikiem Sługi Bożego bpa Adolfa Piotra Szelażka. Zaś jego współpracownikiem i zastępcą był bł. ks. Władysław Bukowiński (nb. dwa lata temu beatyfikowany w Karagandzie).

«NIE O ZEMSTĘ, LE CZ O PAMIĘĆ WOŁAJĄ»

Na zakończenie pozwolę sobie zacytować obszerny fragment z listu pasterskiego, który bp Marcejan Trofimiak wystosował do swoich diecezjan i ludzi dobrej woli dziesięć lat temu (9 lipca 2008 r.) z okazji 65-tej rocznicy tragicznych wydarzeń na Wołyniu:

„Dziś stajemy wobec niedającej się pojąć ludzkim umysłem tragedii ludu zamieszkującego niegdyś kraj wołyński.

Świątynia nie jest miejscem odpowiednim dla bilansowania krzywd, jak również dzień dzisiejszy nie jest dniem wołania o pomstę do nieba. Świątynia zawsze była i jest miejscem modlitwy o przebaczenie i Boże miłosierdzie, a dzień dzisiejszy, druga niedziela lipca, która przed sześćdziesięcioma pięcioma laty była dla ludności



Ks. pral. Zygmunt Chmielnicki dokonał swego żywota w hitlerowskim obozie koncentracyjnym Gross-Rosen (Rogoźnica). Tablica pamiątkowa ku czci duchownych katolickich zamordowanych w Gross-Rosen

Fot. ks. dk Jan Stołowski

wołyńskiej początkiem jej drogi krzyżowej, dzisiaj jest dniem pamięci i modlitwy za wszystkie ofiary nieprawości, która zawładnęła sercem człowieka.

A przecież Pan Bóg stworzył przedziwnie piękny świat i w tym świecie umieścił człowieka, stworzywszy go na swój obraz. Panowała pełna harmonia w relacjach człowieka z Bogiem. W Raju człowiek był bezmiernie szczęśliwy. I nagle wszystko runęło, gdyż w pewnym momencie swego istnienia człowiek swoją wolę postawił wyżej woli Ojca Niebieskiego. Wyciągając rękę po zakazany owoc człowiek jakby powiedział Stworzycielowi: «Nie twoja, lecz moja wola się stanie!».

I stało się. Człowiek świadomie i dobrowolnie odrzucił przyjaźń z Bogiem i stracił wszystko, czym Pan Bóg tak hojnie go obdarował. Nadto i natura ludzka została skaleczona i jest teraz bardziej podatna na zło. Na skutki tego grzechu nie trzeba było długo czekać. Już w zaraniu dziejów Kain podnosi rękę na brata swego Abła. Przelewa się pierwsza niewinna bratnia krew. Niestety, do tego środka w ciągu dziejów sięgano zbyt często. Historia ludzkości to właściwie nieprzerwane ciągi wojen, ciąg ludzkich nieprawości, rzeki, morza krwi, lez i bezmiar ludzkiego cierpienia.

I rodzi się pytanie, które wyrывa się z serca i woła: Dlaczego?! Dlaczego, w imię czego brat odbiera życie bratu?! To pytanie unosi się nad całymi dziejami ludzkości. To pytanie uporczywie powraca i dzisiaj. Dlaczego w niedzielny poranek 11 lipca 1943 roku brat podniósł rękę na brata?! Dlaczego znów przelata się krew niewinnych ofiar?! Dlaczego?! Odpowiedzi nie ma, bo to jest misterium iniquitatis – tajemnica zła, zła, które nie poddaje się żadnemu racjonalnemu wytłumaczeniu, zła, które wykracza poza wszelkie ludzkie pojęcia. Z tą tajemnicą zmierzyć się może jedynie tajemnica przeogromnej Bożej miłości, która zaprowadziła Jego jedynego Syna na szczyt Golgoty. Niech więc w tym dniu unoszą się ku niebu modlitwy za wszystkie ofiary tej straszliwej tragedii, za wszystkich, którzy oplakują swoich bliskich. Modlimy się także za tych, którzy w swoim zaślepieniu, podeptawszy przykazania Boże i Chrystusową naukę o miłości, podnieśli rękę na brata. Boże, przebacz im.

A dla nas pociechą niech będą słowa z Księgi Mądrości: «Dusze sprawiedliwych są w rękę Boga i nie dosięgnie ich męka [...] Choć nawet w ludzkim rozumieniu doznali kaźni, nadzieja ich pełna jest nie-

śmiertelności. [...] Bóg ich bowiem doświadczył i znalazł ich godnymi siebie. Doświadczył ich jak złoto w tyglu i przyjął ich jak całopalną ofiarę» (Mdr 3, 1. 4. 5b-6) Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci! Niech odpoczywają w pokoju. Amen”.

List ten został dobrze przyjęty, ale oceniono go wówczas, jako „niewątpliwie ostrożny”. Minęło dziesięć lat i nadal „nie o zemstę, lecz o pamięć wołamy”. Rany sprzed 75 lat wciąż krwawią, gdyż ofiary tej zbrodni nadal nie są pochowane, zbrodniarze nie osądzeni, a prawda o niej jest fałszowana. Tej prawdy i pamięci o Ludobójstwie Polaków na Wołyniu nadal brakuje w obu naszych krajach.

Amen.

**Ks. Witold-Yosif Kovaliv
vel ks. Witold Józef Kowalów**

Zob. także:

Roman Tomczak, „Ks. Kowalów: Wątek pojednania jest częścią naszego życia”
//

<https://legnica.gosc.pl/doc/4863817>.
Ks-Kowalow-watek-pojednania-jest-czescia-naszego-zycia

„Przebaczenie i pamięć – 75. rocznica zbrodni wołyńskiej. Rozmowa z ks. Witoldem Józefem Kowalowem” //

<http://fiat.fm/rozmowa-dnia/przebaczenie-i-pamiec-75-rocznica-zbrodni-wozynskiej-rozmowa-z-ks-witoldem-jozefem-kowalowem/>



Ikonoграфия - Иконография

MATKA BOŻA BERDYCZOWSKA (2/7): NAJSTARSZA HISTORIA



**Obraz Matki Bożej Berdyczowskiej.
Miedzioryt Jana Balcera
(2 poł. XVIII w.)**

Fot. Archiwum

Drugi artykuł poświęcony jest najstarszej historii Pani Berdyczowskiej – podarowanej do kościoła Karmelitów Bosych w 1642 r., przez fundatora tegoż kościoła, Janusza Tyszkiewicza.

SEN

W roku 1627 Janusz z Łohojska Tyszkiewicz, wojewoda i generał ziem kijowskich, starosta żytomierski i śniatyński, w potyczce z Tatarami dostał się do niewoli. Zakuty w kajdany uczynił ślub „wykonać jaki dobry użynek na cześć Boga i Najświętszej Maryi Panny jeśliby wolność odzyskał. Gdy tak rozmyślając zasypia, widzi we śnie zakonników (całkiem nieznanych), modlących się do Boga i Najświętszej Matki o uwolnienie dla niego. Ocknąwszy się, a rozważając widzenie, postanawia dla widzianych we śnie zakonników klasztor i kościół zbudować”. Nie bez Bożej interwencji odzyskawszy wolność, trwając w swym postanowieniu ma powtórne we śnie widzenie. „Śniło mu się, że jest w kaplicy, gdzie matkę jego pochowano i nad ołtarzem widzi jakby osobę matki stojącą, która mówi do niego: «Synu Januszu, ty masz zbudować wiekami niezdobytą twierdzę». Zbudziwszy się, poczuł w sobie nieodpartą chęć ufundowania i zbudowania w Berdyczowie klasztoru dla widzianych wcześniej we śnie zakonników. Rozpoznał ich, kiedy był w Lublinie i uczestniczył w wielkim odpuszczeniu szkaplerznym z okazji Uroczystości Matki Bożej z Góry Karmel (16.07. 1630 r.). Opowiedziawszy o swoich widzeniach podczas snu, otrzymał przychylność władz zakonnych i jeszcze tego samego roku zapisał karmelitom swój zamek w Berdyczowie a później przystąpił do realizacji prac budowlanych przy kościele.





Widok klasztoru oo. karmelitów w Berdyczowie od strony rzeki

Fot. Wikimedia Commons

OBRAZ

Obraz Matki Bożej – z czasem zwanej Berdyczowską, od niepamiętnych czasów był własnością rodziny Tyszkiewiczów. Otaczany wielką czecią wisiał w zamkowej kaplicy do roku 1642, kiedy to przy okazji konsekracji pobudowanego dla karmelitów bosych kościoła (22.07. 1642 r.) umieszczony został w ołtarzu głównym. Obraz namalowany w XVI w. przez nieznanego artystę malarza należy do jednej z odmian ikonograficznych typu Hodegetrii (z grek. Przewodniczki) i jest wierną kopią obrazu Matki Bożej Śnieżnej (zwanej też Salus Populi Romani – patrz poprzedni artykuł, cz. 1) z Bazyliki Santa Maria Maggiore w Rzymie. Obraz malowany techniką olejną na płótnie przymocowanym do cyprysowej deski o wymiarach: długości jeden łokieć

i 22 cale, szerokości jeden łokieć i 6 cali (czyli ok. 120x75 cm – zbliżony wielkością do oryginału).

Postać Matki Bożej przedstawiona jest frontalnie, w $\frac{3}{4}$ postaci z Dzieciątkiem Jezus na lewym przedramieniu, pełna dostojności, powabu i dobroci. Twarz Maryi pięknie modelowana, nieco pociągła, nos wydłużony – delikatny, rzuca cień na lewy policzek; usta małe, przymknięte, kąciki uwydatnione nadają zarumienionym policzkom przedziwnego wdzięku. Oczy duże, oliwkowe, mocno zarysowane wydłużonymi brwiami, są szeroko otwarte, pełne zatroskania i miłości, skierowane na widza. Obejmują spojrzeniem wszystkich ludzi wpatrujących się w oblicze Madonny. Maryja odziana jest w karmazynową suknię, miękko sfaldowaną pod szyją i opię-



tym prawym rękawem, symbolizującą miłość; pod szyją widoczny rąbek białej tuniki. Głowę, ramiona i całą postać okrywa płaszcz – ciemnoniebieski maforion w odcieniu intensywnego granatu, podbity zieloną podszeawką, symbolem wiary. Maforion jest gustownie i miękko sfaldowany wokół twarzy, ze złocistym grackim krzyżykiem na czole i siedmioramienną gwiazdą na prawym ramieniu, oblamowany złocistym szlakiem bordiury na obrzeżach, bo jest symbolem blasku transcendencji. Dzieciątko Jezus na lewej ręce Matki, zwrócone jest w Jej stronę, z okrągłą i kształtną główką, z kędzierzawymi włosami koloru kasztanowego opadającymi na szyję. Twarz Jezusa subtelna, dziecięc-



ca, czoło wysokie, oczy ciemnowinne, zapatrzone w dal. Ubrane jest w tunikę (chiton) koloru jasnorożowego, symbolizującego Mądrość Bożą, oraz purpurową pelerynę (himation) zarzuconą na prawe ramię – symbol królewskości. W lewej ręce trzyma księgę Nowego Prawa zamkniętą metalowymi klamerkami, a prawą rączkę wznosi w geście błogosławieństwa. Maryja zaś prawą ręką podtrzymuje Dzieciątko w ten sposób, że obie dłonie są skrzyżowane; palcami lewej ręki ujmuje białą chustkę, a karmeliński szkaplerz zwisa na serdecznym i małym palcu prawej dłoni. Głowy Maryi i Dzieciątka otaczają złote aureole – symbol świętości i szczęścia wiecznego. Tło obrazu w dolnej partii ciemne, ku górze walorowo stopniowo rozjaśnione z konturami anielskich główek wynurzających się z obłoków (według o. Bronisława Jarosińskiego OCD, „*MB Berdyczowska – krótki opis obrazu*”, „*Głos Karmelu*”, nr 8 (1928 r.), ss. 231-233).

o. Paweł Ferko OCD



Kapłani diecezji łuckiej - Священники Луцької дієцезії

RADOŚĆ APOSTOŁA

Był naszym kapelanem harcerskim na Wołyniu. Poznałem go jednak osobiście dopiero w październiku 1977 r., gdy w gronie dawnych wołyńskich harcerek i harcerzy witaliśmy go na Dworcu Centralnym w Warszawie.

W tym, co zamierzam napisać o ks. Kuczyńskim dużą część stanowią będą relacje i cytaty z jego opowiadań.

Najpierw jednak chciałbym przedstawić Druha harcmistrza ks. dr Józefa Kuczyńskiego, wiernego przyrzeczeniu i prawu harcerskiemu, jednego ze współczesnych Apostołów Wołynia, Podola, Ukrainy, Workuty i Kazachstanu. Urodził się 3 marca 1904 r. we wsi Buczki, położonej na Polesiu Wołyńskim.

W 1924 r., po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w Żytomierzu, przekroczył granicę polsko-radziecką, zdał jako ekstern egzamin dojrzałości w Łucku i zgłosił się do Seminarium Duchownego w Łucku.

W dniu 4 kwietnia 1930 r. przyjął święcenia kapłańskie; prymicja odbyła się 22 kwietnia 1930 r. w Lubomlu.

Okres od maja 1930 do września 1935 r., to lata pracy jako prefekta w szkołach powszechnych w Łucku i w harcerstwie. Od 1934 ks. J. Kuczyński był kapelanem Okręgu Wołyńskiego Związku Harcerstwa Polskiego oraz referentem do spraw Starszego Harcerstwa i wodzem Kręgu Starszego Harcerstwa w Łucku.

W latach 1935-1937 studiował nauki społeczne w Instytucie Katolickim w Paryżu na Wydziale Socjologii. Stopień doktora nauk społecznych uzyskał z wyróżnieniem „maxima cum laude”. Po odbyciu studiów wraca na Wołyń.



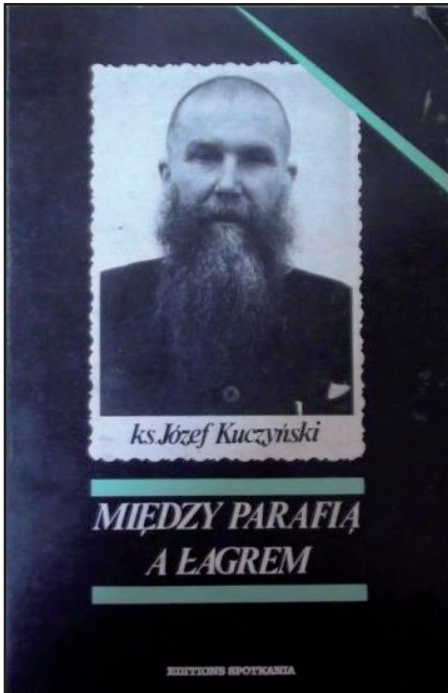
Ks. Józef Kuczyński

Fot. Archiwum

W okresie 1939 pracował nadal jako prefekt szkół powszechnych oraz kierował pracą młodzieży diecezji łuckiej, jako Sekretarz Generalny Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży.

We wrześniu 1939 r. w związku z powołaniem ks. Zygmunta Grabowskiego z Szumbaru i ks. Leonarda Samosenkę z Derkał na kapelanów wojskowych, ks. Józef Kuczyński poprosił, aby biskup mianował go na pozostawione przez nich parafie.

Najpierw zatrzymał się w Matwiejowicach, w pałacu hrabiny Ledóchowskiej, gdzie przebywało już wielu uchodźców. Dzień 17 września 1939 r., kiedy armia radziecka przekroczyła granicę Polski



i zbliżała się do Matwiejowic, spowodował wielkie przygnębienie.

„Ten wieczór w matwiejowickim pałacu był straszny. Grupy ukraińskiej młodzieży podchodziły pod samo ogrodzenie śpiewając przejmujące dumki. Choć znaliśmy dobrze te pieśni i sami lubiliśmy je śpiewać, w tym dniu brzmiały one dla nas przeraźliwie. Truchleliśmy ze strachu szukając pociechy w Mszy św. i modlitwie. (...) Na skraju wsi postawiono powitalne bramy, na których zatknięto czerwone i żółto-błękitne sztandary oraz portrety Szewczenki, lecz nowa władza nie pokazała się jeszcze przez tydzień. Zaczęłem więc jeździć na swoją parafię do Szumbaru. Zauważyłem, że zmienił się do mnie stosunek miejscowej ludności. Przedtem gdy zobaczyli księdza, klaniali mu się zawsze z szacunkiem. Teraz widać było, że się waha ją. Pierwszy więc zdejmowałem kapelusz i mówiłem «dobroho dnia»».

Ks. Kuczyński wspomina, że ze strony miejscowej ludności nie miał żadnych nieprzyjemności. Nękały go jednak władze.

Ks. Kuczyński mieszkał w Szumbarze, gdzie było tylko siedem katolickich domów. Do kościoła w Dederkałach, gdzie mieszkało około sześćdziesięciu polskich katolickich rodzin, dojeżdżał osiem kilometrów.

Nie ograniczał się do pracy w Szumbarze i Dederkałach. Uzyskał przepustkę od władz niemieckich i udawał się w podróże duszpasterskie do Lachowic, Zaslawia, Sławuty, Żytomierza i rodzinnych Buczek. Katolicy, głównie Polacy, przyjmowali go z wielką radością, odprawiali Msze św. w domach prywatnych, bo kościoły były zamienione na cerkwie lub zamienione na magazyny. Chrzcił dzieci, spowiadał ludzi, przygotowywał dzieci do I Komunii św., udzielał ślubów, był na cmentarzach, aby poświęcić groby.

Rok 1943 był bolesny dla ludności polskiej na Wołyniu, szczególnie na jego wschodnich połaciach.

Ukraińcy podpalili kościół w Szumbarze. *„Po pożarze porozbierali dachy, pokryli swoje budynki (...) wszelki budulec z fundamentów, wszystko, co zostało, zabrali i rozwlóczyli. Nawet grobowce Ledóchowskich i innych zburzyli, wyrzucili trumny, rozebrali cegła po cegle, wyrąbali stare lipy, całkowicie spustoszyli to przepiękne miejsce na Krasnej Górze, gdzie stał szumbarski Kościół”.*

Mordy wznęcały się. Na terenie dwóch parafii ks. Kuczyńskiego zostało zamordowanych w 1943 r. przeszło dwustu Polaków, w tym około pięćdziesięcioro dzieci do lat 14 i tyleż starszusków.

„Nienawiść rozdzielała niekiedy w krwawy sposób rodziny polsko-ukraińskie. Pamiętam (...) gdy mąż – Ukraińiec, wskazał banderowcom, gdzie ukryła się jego żona; gdy brat – prawosławny za-

bił brata – katolika; gdy synowie zamordowali ojca”. Do 6 maja 1943 r. wszyscy Polacy z okolicy, którzy ocalili, uciekli do Krzemieńca i do Zbaraża. Około stu osób schroniło się w kościele i klasztorze w Dederkałach.

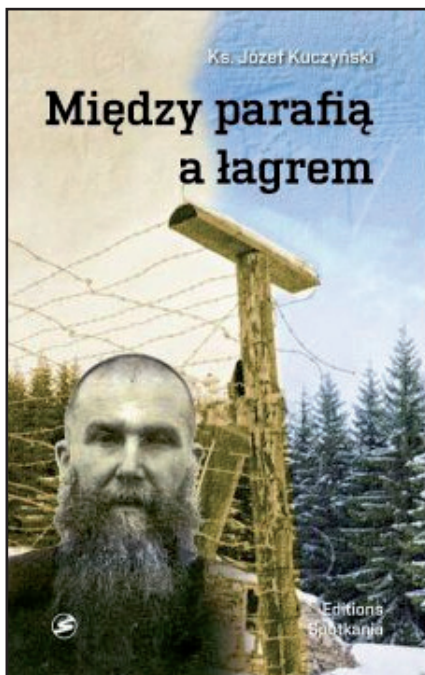
Ks. Kuczyński postanowił zorganizować samoobronę. Znalazło się kilka karabinów. Zabezpieczono i zamurowano niepotrzebne otwory, aby w razie napadu banderowcy nie mogli wrzucić przez nie granatów.

Niemcy opuścili Dederkały na początku lutego 1944 roku. *„Bezpośrednio po odjeździe Niemców – wspomina ks. Kuczyński – mieszkańcy Dederkał zaczęli przynosić cały swój dobytek do klasztoru (...) Ja nocowałem na pierzynie na stopniach wielkiego ołtarza. Zaczęliśmy też wznosić barykady w miejscach, gdzie mury były uszkodzone”.*

Banderowcy strzelali do ukrywających się w klasztorze Polaków wieczorami, zza węgła domu niedaleko kościoła. W czasie strzelaniny ks. Kuczyński wychodził z kościoła i czuwał nad obroną. obrońcy mieli siedem karabinów, trzysta pocisków i granaty, głównie węgierskie, wymienione za chleb od Węgrów, którzy przechodzili przez Dederkały.

Pewnego wieczoru banderowcy zaczęli podpalać polskie domy: Polacy chcieli się im za to zrewanżować, ale proboszcz powstrzymał ich od zemsty. Ukraińcy wystosowali ultimatum, aby samoobrona poddała się. Niektórzy ulegali panice i uciekali do Jampola. Inni obrońcy Dederkał trwali w klasztorze i kościele.

Ks. Kuczyński pisze: *„...nie było u nas żadnych heroicznych czynów, czy sprawnej organizacji. Chcieliśmy żyć, a ja miałem głębokie przekonanie, że muszę zrobić wszystko, żeby ludzi, którzy znaleźli się w takim strasznym niebezpieczeństwie, ratować od śmierci”.*



21 lutego 1944 r. armia radziecka przeszła przez Dederkały. Polaków wcielano do Armii Polskiej. Niektórzy Ukraińcy chcieli także iść do polskiego wojska, więc ksiądz wydawał im katolickie metryki, jeśli uważał, że *„to porządny człowiek”*. Pobłogosławił odjeżdżających do wojska.

Stosunki ks. Kuczyńskiego z władzami układały się nieźle. Wobec zamierzonej repatriacji ludności polskiej za Bug, za zgodą dziekana krzemienieckiego wyjechał do Krasilowa. Witano tam Księdza staropolskim zwyczajem chlebem, solą oraz kwiatami.

Ks. Kuczyński jeździł po polskich wioskach w rejonie tego miasteczka.

„Ludzie pracujący w kolchozach nie bardzo mogli przychodzić do kościoła: przyjeżdżałem więc do nich, spowiadałem, przygotowałem do Komunii św.; katechi-

zowałem dzieci i odprawiałem Msze św. W jednej wsi, czysto mazurskiej, gdzie mówiono tylko po polsku, prezesem kolchozu był Ukraińiec, który nauczył się niektórych modlitw po polsku. Kiedyś urządzono mi tam bardzo uroczyste przyjęcie: tak jak było 100 domów, ugotowano 100 kurcząt, kaszy jaglanej z mlekiem, upieczono biały chleb. Ludzie zastali stoły pięknie haftowanymi obrusami: jeden taki obrus dostałem na pamiątkę. Przyszli również parafianie z innych wsi. Wieczorem było drugie nabożeństwo na zakończenie”.

W czasie tych wypraw spotkał o. Bernarda Muzykę ze Zbaraża, który wręczył mu list od ks. Bronisława Drzepeckiego, administratora diecezji żytomierskiej, z propozycją objęcia parafii w Kijowie.

Po dotarciu do Kijowa rozpoczęto starania o legalizację parafii w ministerstwach i u władz lokalnych, ale napotymano na rozmaite przeszkody i trudności.

Ks. Kuczyński skorzystał więc z zaproszenia od katolików z Charkowa, gdzie był otwarty kościół.

„Od razu zająłem się przygotowywaniem dzieci do Pierwszej Komunii św. Przychodziły dzieci polskie, ormiańskie, lotewskie i litewskie polskiego pochodzenia; mówiły tylko po rosyjsku i trzeba było przygotowywać je w tym języku. Pytania zadawałem po rosyjsku, ale pacierz mówiły nawet i po ormiańsku, ja modlitwy odmawiałem po łacinie”.

Przed Nowym Rokiem 1945 przyjechał ktoś ze Lwowa i zawiadomił o aresztowaniu księży i zakonników. Obawiał się, i jak się okazało – słusznie, o los ks. Kuczyńskiego.

„Siedziałem sobie w Dnieprodzierżyńsku w mieszkaniu z kilkoma paniami i ich dziećmi. Nagle mnie jakby ktoś nożem w serce ugodził: wchodzi oficerowie. Okazało się, że zajrzeli przez niezastłonięte okno i to ich wzrok tak mnie uderzył. Za-

prowadzili mnie do drugiego pokoju i powiedzieli, że jestem aresztowany...”

Aresztowanego przewieziono do więzienia w Kijowie. Początkowo badania nie były uciążliwe. Paczki dostarczane były przez parafian, rodzinę i księży, którzy pozostawali na wolności.

Głównym oskarżonym był biskup Szełążek z Łucka, zarzucano mu, „że nie pozwalał on księżom na repatriację do Polski. Był też zarzut, że rozkrzewialiśmy katolicyzm wśród ludności ukraińskiej” – pisał ks. Kuczyński.

Po pewnym czasie przeniesiono księży wołyńskich do więzienia „Łubianowskie” na przedmieściu Kijowa. „W niewielkiej celi w suterenie było nas ośmiu duchownych, jeden jeniec niemiecki i jeden Ukraińiec z Kijowa. (...)

W celi odmawialiśmy wspólnie różaniec, śpiewaliśmy gorzkie żale, majowe nabożeństwa, prowadziliśmy wykłady – każdy ze swojej dziedziny. Ksiądz Bukowiński z historii, Drzepecki z teologii i dogmatyki (...) ja opowiadałem coś na temat rzeczy socjalnych ze swojej działalności w KSM”. Wreszcie zapadł wyrok w Moskwie. Zostali skazani na dziesięć lat obozu.

Księży rozesłano do różnych obozów. „Pewnego dnia wywołali na etap Bukowińskiego. Ja wyjechałem nazajutrz: skierowali mnie na Ural”.

Było to ówczesnie zupełnie nowe odosobnienie i miejsce wyczerpującej pracy więźniów. Grasowali w nim złodzieje i chuligani. Okradli ks. Kuczyńskiego, a kiedy bronił swoich rzeczy, uderzyli go deską i uszkodzili mu kość w łokciu.

„Głód tak dokuczał, że ludzie zbierali lupiny i główki od śledzi, to, co inni wyrzucali na pomyje. Zdawało się, że tak poniżony człowiek jest najgorszy, ale gdy któryś siadał w słońcu przed barakiem i śpiewał ładne pieśni, że przyjdzie wiosna,

że lubi róże w ogrodzie i polny kwiatek, to rozumiało się, że nie jest jeszcze całkiem stracony”.

Potem nastąpiła kolejna zmiana w życiu księdza. Został wyznaczony do pracy w fabryce narzędzi. Pracował przy struganiu trzonków do narzędzi.

„Żyłem więc w lepszych warunkach. Zostałem wyznaczony na etap do Workuty. (...) Wysłano nas dlatego, że jeździły wówczas po obozach polskie komisje, które zapisywały na repatriację, a do Workuty nie były dopuszczone. Słowem, «schowano nas»”. W obozie było ponad dwudziestu księży i grekokatolicki biskup Łakota z Przemysła, który tam zmarł.

Ks. Kuczyński został skierowany do zbiórki siana w zagłębiu workuckim, ale bliżej Oceanu Lodowatego i nagich grzbietów Północnego Uralu.

„Często musiałem kosić stojąc w zimnej wodzie powyżej kostek. (...) Kiedy kosiliśmy kilka kilometrów dalej, wracaliśmy pojedynczo; gdy spostrzegłem na uboczu cmentarne krzyże, szedłem pomodlić się i «zapięczętować» groby, niektóre zaledwie przysypane. Czasem znajdowaliśmy zwłoki w krzakach, porzucone przez więźniów – grabarzy, którym nie chciało się tupać zamrożonej ziemi”.

Ks. Kuczyńskiego zwolniono trzy miesiące przed terminem zakończenia odbywania kary, ale nie mógł opuścić Workuty. Dostał jednak dokument, że może swobodnie się poruszać w tym rejonie. „Było to wspaniałe pole do duszpasterstwa: 40 kopalń na przestrzeni 30 kilometrów. Ale nie znalazłem pracy na powierzchni. Trafiłem znowu do kopalni. Jednak ze względu na bezpieczeństwo pracy duszpasterskiej tak było lepiej... Dzień wolny starałem się mieć w niedzielę. Wtedy Mszę św. odprawiałem w domach mieszkańców... Tam w tym mroźnym piekle, prawdziwi

kapłani doznawali radości niezmiernych, pocieszając najbardziej strapionych. Odprawiało się Msze św., spowiadało, komunikowało w kopalni węgla na głębokości 900 m albo w domach zesłańców”.

Po roku pracy ks. Kuczyński otrzymał 44 dniowy urlop i pojechał do Taińczy (obecnie Krasnoarmiejsk), gdzie mieszkali od dwudziestu lat Polacy przesiedleni z Wołynia i Podola. I znowu chrzczył, spowiadał, udzielał Komunii św. i ślubów... „tak długo, aż prezes rady wiejskiej kazał mu opuścić wieś”.

Wrócił do Workuty. Na skutek starań „zdjęto mu zesłanie” i 16 maja 1956 r. opuścił po prawie dziesięciu latach Workutę, w której prawie siedem lat spędził w kopalniach.

Ks. Kuczyński zdecydował się osiedlić w Taińczy w Kazachstanie.

„Okolice Taińczy to region (...) gdzie w 26 osiedlach mieszkali Polacy. (...) było około dwudziestu kilku tysięcy ludzi, którzy przetrwali w wierze, pomimo że przez 20 lat nie widzieli kapłana. Byli oni osiedleni w zwartej masie i mieli oparcie jedni w drugich, co ułatwiło im przetrwanie (...) Były nawet dwie parafie mazurskie, których ludność zachowała język polski. Reszta zaś mówiła po ukraińsku (...) Niektórzy zdolali wyrwać się spod komendantury do osiedli roboczych i żyli już w rozproszeniu między ludźmi różnych narodowości.

Gdy przystąpiłem w Taińczy do pracy, ludzie zaczęli garnąć się do kościoła ze wszystkich stron. Przyjeżdżali z odległości 40, 60 i 80 kilometrów na pudłach samochodów ciężarowych, nawet wśród upałów i zamieci piaskowej, a w zimie w mróz i śnieg”.

W polskich wioskach mieszkali też Niemcy – katolicy i protestanci. Ks. Kuczyński odprawiał nabożeństwa po łacinie – dla obu narodowości.

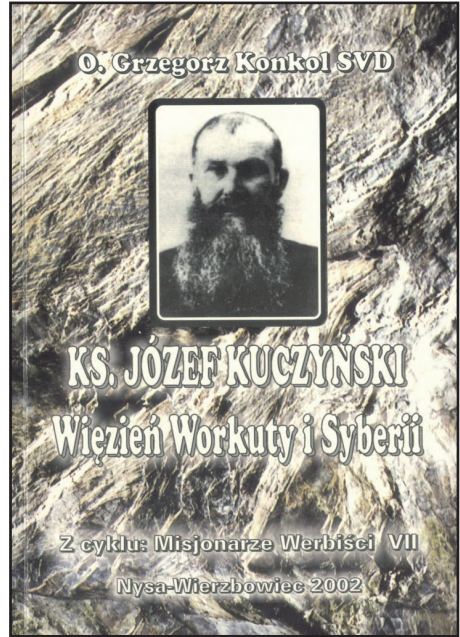
Po pewnym czasie, gdy ugruntowała się pozycja ks. Kuczyńskiego w rejonie, zaczęto go szkalować w kokczetawskiej „Prawdzie”, miejscowym organie prasowym. Nazywano go spekulantem, darmozjadem i agentem Watykanu. Wreszcie oskarżono, że nie zapłacił 16 tys. podatku, gdy zebrał pieniądze i wpłacił je do urzędu, pomówiono, że wyzyskuje wieś.

Po dwu i pół rocznej pracy w Taińcy zjawili się czterej oficerowie. Przeszukali kaplicę, mieszkanie i zabrali księdza do Kokczetawu, gdzie sąd skazał go na 10 lat obozu, później obniżono wyrok do 7 lat. Ks. Kuczyński został zwolniony dopiero 9 grudnia 1965 roku.

Niedługo po zwolnieniu z obozu w Mordowii, ks. Józef otrzymał zawiadomienie, że może objąć parafię w Barze na Podolu i upoważnienie do pracy we wsiach tego rejonu oraz - dodatkowo - w kościołach w Łuczyńcu, Wierzbowcu i Śnitkowie, odległych od miasta o 50-70 kilometrów. Parafia barska liczyła około 7 tysięcy parafian.

Ks. Kuczyński odnowił kościoły, zagospodarował je i aby przełamać apatię u katolików po przejściach okresu stalinowskiego on i jego koledzy urządzili podniosłe uroczystości: procesje na Boże Ciało, na Wniebowstąpienie – święcenie kwiatów, owoców i zbóż, na Boże Narodzenie – Pasterkę...

„Kościół odgrywa na tym terenie istotną rolę w utrzymaniu polskości. W modlitwach i pieśniach kościelnych, w lekturze książek ludzie zachowują język ojczysty. Nie posługują się nim jednak w życiu codziennym... Dzieci do Pierwszej Komunii przygotowują się po polsku, ucząc się pacierza i katechizmu w języku ojczystym. Grunt zazwyczaj mam przygotowany przez dom rodzinny. W wychowaniu dzieci wielką rolę odgrywają babcie, któ-



re, gdy rodzice są w pracy, uczą wnuki pierwszych modlitw po polsku...”.

Ks. Kuczyński w ostatnich latach swego życia został pozbawiony parafii w Barze. Pozostawiono mu tylko Łuczyniec, Śnitków i Wierzbowice, w którym osiadł na stałe.

W listach do przyjaciół dzielił się przeżyciami z tych parafii. Żalił się na samotność i małą liczbę wiernych uczęszczających do jego kościoła.

Zmarł 13 marca 1982 r. i został pochowany na wiejskim cmentarzu przy udziale licznych księży i wiernych nie tylko z Wierzbowca.

Henryk Dąbkowski



To już historia... - Це вже історія...

KSIĄDZ JÓZEF KUCZYŃSKI, PROBOSZCZ BARSKI

Rozmowa z państwem Janiną i Giennadijem Lipskimi,
panem Alojzym Bramskim, ojcem pani Janiny
oraz panią Ludmiłą Ośnicką

Na ścianach u Państwa wiszą kopie świętych obrazów barskich i widoki Baru. Gdyby naszkicować portret ks. Proboszcza – jaki byłby?

Janina Lipska: Był blisko ludzi. Zauważał prawdy, takie mało widoczne. Osiem lat miałam, rok po I Komunii. On nas zawsze zauważał, zapraszał na herbatę, poczęstował. Pamiętam, byłam w trzeciej klasie. Mama wysłała do kościoła, był październik, ciemno i chłodno. W kościele nikogo już nie było, zamknięte. Kręciłam się obok, on wyszedł, zawołał, mówi, że dzisiaj już się nie odprawia. Mówię, że do spowiedzi przyszedłam, mama mnie wysłała. On mówi: „No to chodź?”. Otworzył tabernakulum, udzielił Komunii świętej. Który by ksiądz teraz... jeszcze tak schorowany, po takich przejściach? Nigdy tego nie zapomnę. Był cudny ksiądz. Może nie miał daru mówienia kazań, żeby tak pociągać ludzi. Przyszedł potem kolejny, co to potrafił. Ks. Kuczyński był bardzo skromny, ale taki bardzo miły, dobry.

Tyle przeszedł; 17 lat – najdłużej ze wszystkich księży – siedział w lagrach. Może to spowodowało, że „nie błyszczał”. Bo przecież przed wojną tyle ich głosił, organizował, a przedtem zrobił doktorat z socjologii w Pa-ryżu.



Ks. Józef Kuczyński

Fot. Archiwum

J.L.: Mówił tak skromnie, tak spokojnie... Tato powiedział, że ksiądz Kuczyński to jest doktorem. Myślałam, że w szpitalu i zawsze dziwiłam się, jak to możliwe? Myślałam, że może tak jak ten ksiądz, który przyjeżdżał do nas ze Lwowa. Jak zmarła mu żona, został wyświęcony na księdza.



Ks. doktor Henryk Mosing? Rozpoznał się jego proces beatyfikacyjny.

J.L.: Tak, tyle razy byłem u niego u spowiedzi! Szczupły, starszy, taki inteligent. Non stop siedział u nas w konfesjonale, ale nie miał pewnie do tego praw, więc wszystko musiało być robione po cichu. Spowiadał w zakrystii, na chórze. ... Ksiądz Bronisław Bernacki, który przyszedł po Kuczyńskim, z kolei wszystkich ściągał. Grekokatolików też, siedzieli na chórze, spowiadali się, jeden ksiądz mieszkał u niego zanim powstała ich parafia. Przyjeżdżali, nasza parafia była prężna.

Aleksander Bramski: Teraz biskup odesko-symferopolski!

J.L.: Ks. Bernacki był u nas 23 lata, potem, gdy zmarł ks. Chomicki, był w Murafie, wyświęcili go na biskupa. Pięknie odnowił katedrę w Odessie. Byliśmy tam pięć lat temu.

W 1972 przenieśli ks. Kuczyńskiego do Wierzbowca.

„Stracił Bar”. Był proboszczem ponad pięć lat. Co było powodem tego przeniesienia? Decyzja władz?

J.L.: Nie wiem. Może i władze, ale raczej wola ks. Antoniego Chomickiego, który po cichu administrował wszystkimi księżmi, jak biskup. Jak wyświęcony został młody ks. Bernacki to ks. Chomicki zarządził, że do nas przyszedł, od razu po seminarium, dwudziestosiedmioletni. Ks. Bernacki był pupilkiem ks. Chomickiego. Ks. Kuczyńskiemu był bardzo przykro. Pamiętam, jak moja Mama bardzo płakała. ...! To ja jeszcze płaczę. Mój tato pracował jako kierowca autobusu. Wrócił z pracy i mówi do mamy: „*Wiesz co, widziałem ks. Kuczyńskiego na dworcu. Z siatką*”. To była taka siatka wiązana z bawełny, przejrzysta. „*W siatce niósł garnek. Tak mi zrobiło się go szkoda*”. Bez samochodu, bez niczego, bez żadnej walizki,

tylko ta siatka w rękach. Tak wyszedł z Baru. Może ktoś mu wcześniej coś przewiózł do Wierzbowca, ale tak go tato widział. Nie mogę mówić... Ludzie bardzo płakali za nim. Tak płakali, że po prostu... Potem oczywiście jeździliśmy do niego, wynajmowaliśmy autobus. Jechaliśmy wieszować zawsze na św. Józefa, 19 marca. Mieszkał bardzo skromnie, taka chałupina na wsi. Można powiedzieć, że w biedzie. Dookoła był sad, jak to na wsi, ale... A jakie błoto! Kościół był trochę dalej. Pamiętam, jak byliśmy na św. Józefa Robotnika na 1 maja, nabity autobus, 50 osób. My w półbucikach, z miasta, a tam błoto po kolana. Tylko w gumowcach można tam było przejść. Śpiewaliśmy mu, wieszowaliśmy. Po Mszy św. zaprosił nas na obiad. Duży pokój, stół zastawiony.

On był bardzo szczodry, ostatnią koszulę by oddał.

Ludmiła Ośnicka.: Moja Babcia Karolina Kuczyńska ze wsi Podolskoje koło Tainczy [żona stryja ks. Kuczyńskiego, również Józefa] mówiła, że ks. Kuczyński był groźny, taki „*seriozny*”.

J.L.: On?! Nie... Można powiedzieć, że ks. Chomicki taki był, ale nie on!

Miał dużo książek?

J.L.: Chyba tak. Pamiętam, że dawał nam książki. Może ktoś ze Lwowa przewiózł, może z Łotwy, może z Polski. Byłam mała, pamiętam, jednego wieczoru zaprosili nas na przedstawienie. Kościół był zamknięty, żeby nikt nie widział. Ksiądz rozdawał książki, książeczki, figurki. Miałam polską czytanekę od niego. Bo elementarz to my zawsze mieliśmy.

Był zwyczaj, że chłopaki zawsze chodzili mu wieszować na Nowy Rok. Myśmy czekali. Mój starszy brat Wiktor, teraz organista w plockiej katedrze, wracał z worem cukierków czekoladowych, takich dobrych. Ksiądz co miał, to wszystko rozdawał.

To były dary od parafian?

J.L.: Tak. A tato raz mi powiedział... Miał od dziadka, ojca mamy, kilka złotych monet. Rozdał nam po jednej, ale powiedział, że jedną dał ks. Kuczyńskiemu. Było trudno, trzeba było podatki wysokie opłacać, utrzymywać kościół. Ci, co chodzili do kościoła, to była jedna wielka rodzina. W niedzielę po kościele, jak było święto, pamiętam, wyglądaliśmy: „*O, już idzie organista, śpiewacy!*” Chodziliśmy od domu do domu. Nie było za bardzo czym częstować, było biednie, a wesoło, tak radośnie. Kiedy ludzie przyjeżdżali na odpusty, święta, na Nabożeństwo Czterdziestogodzinne z okolicznych miejscowości, często oddalonych o 150 km, to parafianie barscy „*rozbierali*” ich po domach, po 15-20 osób. U nas też zawsze nocowali.

Choć nie było żadnych formalnych wspólnot parafialnych, poczucie więzi było bardzo mocne?

J. L.: Tak. Mama mówiła nam: „*Jak idziecie do kościoła, nie chowajcie się. Nie bójcie się. Idźcie prosto do kościoła!*”. Ale wielu się chowało, żeby nie widzieli nauczyciele, bo prześladowali. Niektórzy więc chodzili do kościoła przez opłotki, ogrodzenie przeskakiwali, żeby nie iść centralną drogą.

Ksiądz Kuczyński nastal w lutym 1966. Objemował swoją pracą też Śnitków, Łuczyniec i Wierzbowiec. Przedtem dojeżdżali do Baru ks. Chomiccki i ks. Drzepecki?

J. L.: Do tych miejscowości dojeżdżał ks. Kuczyński rejsowymi autobusami. Ale jeszcze wcześniej był u nas kilka lat ks. Wojciech Wilk. Też był bardzo dobry ksiądz. Siedział siedem lat w więzieniu, wrócił do Baru, a potem znowu go wzięli do więzienia, takiego, że toalety budował

w Barze. Chcieli go tak upokorzyć, żeby się z niego śmiano.

Parafia św. Anny liczyła ok. 7000 osób, jak pisał ksiądz Kuczyński.

J.L.: Ale tyle osób do kościoła nie chodziło. Nie było młodzieży, dzieci niewiele. Na tym zdjęciu – wtedy ks. Kuczyńskiego jeszcze nie było – chór z ks. Chomickim. Widać przeważnie starszych. Na próby chodzili po pracy. Tato też śpiewał. Muszę zresztą dodać, że mój Tato znał całą łacińską Mszę na pamięć. Pamięta do dziś.

A kto prowadził ten chór?

J. L.: Organista, wtedy akurat pani Helena przybyła z Odessy, zamieszkała w Barze. Tato, nie pamiętasz nazwiska...? Byli też inni. Tu – pan Łuckiewicz. Na tym zdjęciu jest już starszkiem. Przychodził do nas, od kościoła było dwa km, w domu była fisharmonia. Lubili pograć z Tatą, potem Mama kazała mi go odprowadzać przez całe miasto, bo już nie mógł trafić.

Na zdjęciu chóru nie ma dzieci. Dzieciom nie było wolno w nim śpiewać?

J.L.: Za moich czasów było niby już trochę więcej wolności. Ale do osiemnastego roku nie wolno było być w chórze, ani chodzić w procesji, ani iść do adoracji, gdy było wystawienie Przenajświętszego Sakramentu. Było to tak przepiękne! Myśmy tak bardzo chciały uczestniczyć! Mówimy: „*No, już pójdziemy w nocy!*”. Ale przychodził ten kościelny i mówił: „*Nie wolno! Dziewczyny, nie wolno, bo jutro przyjdą i zabiorą nam księdza!*” Nam było tak przykro, że niestety... Nigdy! Chłopa-ki tak samo, do osiemnastego roku życia nie mogli być ministrantami. Przychodzili i pilnowali nas, jak bandytów. Ministrantami byli tylko starsi, mój Tato też, jeśli nie śpiewał akurat w chórze. Dope-

ro za ks. Bernackiego mogli przychodzić młodzi, po wojsku. A młodszy? Dopiero po 1991 mogli służyć, mój syn był wtedy mały.

W listopadzie codziennie śpiewano przed Mszą św. egzekwie. Ksiądz śpiewał, chór odpowiadał, bardzo to było piękne i uroczyste. Ksiądz nie przy ołtarzu, ale w rogu prezbiterium, na klęczniku. W kościele na ławkach leżały teksty. Byli u nas „zwykli ludzie”, a byli i „z pańskiego rodu”. Była jedna taka właśnie pani, sekretarka, miała „po cichu” maszynę do pisania, przepisywała godzinki, nieszpory. Wszyscy śpiewali, jak pamiętam, po polsku, bo to było już po soborze.

A.B.: Łacińską Mszę śpiewało się na cztery głosy: sopran, alt, tenor i bas. Niedzielną – trwała trzy godziny. Było ponad 50 osób w chórze, z miasta i ze wsi, młodzi, starsi.

J.L.: Nie pamiętam, kto tą nauczył Mszy św. łacińskiej? Ksiądz Wilk czy ks. Kuczyński? Za ks. Kuczyńskiego to było już tak więcej po polsku. Starszy brat i siostra bardziej to pamiętają, myśmy byli młodzi. Tato przychodził z pracy, wieczorem o jedenastej i uczył nas: „*Wstawajcie i mówcie: Pater noster, qui es in caelis, sanctificetur nomen tuum, adveniat regnum tuum, fiat voluntas tua...*” To nic, że się chciało spać. Jak w wojsku było! Wnuka, czyli naszego syna, jeszcze tak uczył. Jak Paweł miał pięć lat, to po łacinie pozdrawiał biskupa Jana Śrutwę, który przyjechał z Lublina. Tekst napisał mu wtedy nie tato, ale ks. Soszko z Lublina, który był wtedy u nas.

Ksiądz Kuczyński mawiał, że dziecko trzeba wychowywać, gdy jeszcze „*Jeży w poprzek łóżka*”, bo potem za późno. Rady dawane w liceum czy na studiach – są nieskuteczne.

...Na tym zdjęciu – ks. Kuczyński rozdaje nam Komunię św. To nasze najdroższe zdjęcia. Malowideł tu jeszcze nie ma.

...A tu – ks. Chomiccki z ks. Marcinem Darczyckim, księdzem z Polski [przedwojennej]. Ten ksiądz mieszkał w Miastkowie. Mój najmłodszy brat Sławek, lekarz, byłby więcej o nim opowiadał, był bardzo zaangażowany. Sławek pierwszy na Ukrainie, na początku lat dziewięćdziesiątych, założył gazetę „Credo”. Taki był, że w Moskwie głodował, żeby kościół w Winnicy oddali. Ks. Paweł Wyszkowski, oblat, który był u nas pięć lat, napisał książkę „*Moc wiary*” [Poznań, 1998]. O ks. Kuczyńskim jest w niej niewiele, ale pisał o tamtych czasach. ...A tu pamiętka z pogrzebu mojego brata Pawła, który zmarł, jak miał dwa latka i dwa miesiące, w 1971. Ks. Kuczyński odprawił Mszę św. w kościele a po miesiącu na cmentarzu poświęcił krzyż i rozdał nam te obrazki, które tato od razu podpisał. W tamtych latach ksiądz nie mógł wyjść z kościoła, żeby dopełnić ceremonii pogrzebowej. Ksiądz zaproponował mojej mamie, żebyśmy wyszli w procesji pogrzebowej z domu do kościoła. Była to chyba wówczas pierwsza taka procesja w mieście. Szliśmy przez całe miasto, nieśliśmy trumnę w białych procesyjnych strojach.

Na biało?

Ksiądz tłumaczył, że kiedy umiera małe dziecko, do siódmego roku życia, jeszcze przed Komunią św., to jest niewinne – i w rodzinie przybywa anioł. Mama nigdy nie nosiła żałoby po Pawełku, ubierała się na biało. Podobnie ksiądz nie odprawiał Mszy św. za duszę takiego małego dziecka, owszem, za jego tatę, mamę, ale za takie małe dziecko – nie, bo jest w niebie. Teraz, gdy słyszę, że tak się dzieje, to się dziwię.

Tu, na zdjęciu – ks. Kuczyński w wieńcu z rozmarynu? To jubileusz złotych godów kapłańskich w 1980-tym?

J. L.: To był wieniec z barwinku. Jubileusz obchodził w Barze, na zdjęciu widać obok ks. Chomickiego. Przyjechało mnóstwo osób, dzieci mówiły wiersze. ...A tu zdjęcia z pogrzebu, Sławek był na nim, rodzice... Tato, kierowca, woził ludzi autobusem z Baru.

Znowu białe suknie i welony! Tak samo ubrane były kobiety na pogrzebie ks. Bukowińskiego. I takie same widać na zdjęciu ze Mszy św. z 1981 w kościele św. Józefa w Karagandzie.

J.L.: To nie stroje pierwszokomunijne. Jednakowe, białe stroje, z welonami, zakładały na procesje panny niezamężne, te, które niosły szarfy, feretrony. Mogły być i starsze, niektóre z nich potem wstępowały do zakonu. Może wtedy nawet w nim były, tylko po cichu.

Na pogrzebie ks. Kuczyńskiego było mnóstwo ludzi.

Myśmy do samego końca jeździli do niego. Jak zmarł, to w dzień pogrzebu, władze ogłosiły kwarantannę wsi. „Zamknięta strefa”, nie wolno było do Wierzbowca wjechać. Tato dojechał tym wynajętym autobusem, a tu stoi milicja: „Proszę zawracać, wjazdu nie ma! Choroba!” – Co tu robić? Ludzie mówią: „I tak pójdziemy, choćby strzelali, to pójdziemy!” Tato otworzył drzwi autobusu i mówi: „Idźcie! Ja gdzieś tu schowam autobus i potem dojdę”. Jakim cudem tam doszli? Ale znowu. ks. Chomickiego nie puścili! Msza, już kondukt miał iść na cmentarz, a tu nie ma najważniejszej osoby. Aż tu pojawił się ksiądz, jakoś przywieźli go konnym wozem. Zaczął machać ręką: „Już jadę! Zaczekajcie!”. Na cmentarzu wygłosił kazanie „Litowiec”, ksiądz z Litwy. Albo z Kazachstanu? Ale „Litowiec” – mówił po rosyjsku. Brat jeszcze pamięta treść tego kazania.

Z Łotwy natomiast był u nas ksiądz

Jan Krapan. Mój brat, ten co jest organistą w katedrze w Płocku, był u niego organistą. Jeździliśmy też do niego, byliśmy na Łotwie, jak miał pięćdziesięciolecie kapłaństwa. Zmarł dwa lata temu. Był w Żmerynce, w Chmielniku, w Winnicy, w kapliczce, bo tam kościoła wtedy nie było. Dojeżdżał jeszcze do Dzierżanówka i Li-stopadówka, to za Chmielnikiem. I w Kijowie, skąd chyba władze go usunęły. Razem miał pięć parafii. Był na Ukrainie ze trzydzieści lat. To też był super – ksiądz.

Mój brat Wiktor uczył się w Kijowie. W sobotę wieczorem wsiadał w pociąg, z rana był w Żmerynce, objeżdżał z nim wszystkie te parafie, wieczorem wsiadał do pociągu i wracał do szkoły. To była muzyczna szkoła. Nie wiem już, ile lat tak jeździł. Potem dostał się do konserwatorium do Rygi, po wojsku grał tam w katedrze. Było tam seminarium, przygotowujące księży również na Ukrainę, ksiądz Bernacki je kończył. Wiktor grał na organach od 13 roku życia. Jeszcze za księdza Kuczyńskiego uczył go organista.

To były wszędzie organy?

Tak, tak – w Barze, w Chmielniku, w Żmerynce. Drugi brat Sławek po latach wspominał, że gdy w Winnicy w 1991 kościół objęli prawosławni, wyrzucali organy na śmietnik przez okno; serce bolało. Teraz brat Wiktor razem z żoną prowadzi chóry, zjeżdżał z nimi cały świat, zdobywa pierwsze miejsca. Przeżywa: „No, dajcie też komuś innemu to pierwsze miejsce!”. Jest w nich 150 chłopaków, teraz też dziewczyny.

Pamiętacie Państwo ks. Bronisława Drzepeckiego?

Ja tak nie za bardzo, choć cała moja rodzina utrzymywała z nim kontakt, przyjeżdżał do ks. Kuczyńskiego. Zmarł w Szarogrodzie w 1973 roku. Tato go bar-

dzo dobrze pamiętał. Dobrze za to pamiętam ks. Chomiciego. Jak głosił kazanie, to wszystkie babcie płakały i padały zaraz na kolana. Jaki ks. Chomici miał potężny głos! Tato, pamiętacie, jak ks. Chomici kazania mówił?

A.B.: W 1956 po raz pierwszy przyjechał. W Derażnem raz tak mówił...! Bardzo lubiłem ks. Chomiciego, on mnie też; mówił mi: „*Ja cię mam za pół – księdza*”. „*Credo in unum Deum Patrem omnipotentem...*”

Pan nauczył dzieci umiłowania Kościoła.

J.L.: Tato tak śpiewał...! W latach osiemdziesiątych, kiedy już było wolno, wszyscy do nas przychodzili, cały dom był pełen. Nawet nasze nauczycielki, które przedtem nas wyśmiewały i prześladowały, to potem do Taty na katechezę przychodziły.

A.B.: Księdzu Wilkowi zrobili „*sprawkę*”, nie zważając, że był chory, postawili przed sądem. Ksiądz spowiadał dzieci. Chcieli mnie też posadzić, jeszcze z jedną dziewczyną, choć do niej „*mniej mieli*”. Główny prokurator mówi: „*Ty rodzinę masz?*”. Ja: „*Żonę, troje dzieci*”. „*Ty ich więcej nie uwidzisz*”. I do milicjanta: „*Zabierz jego do podwału, póki co*”. Siedziałem do wieczora, potem przyszedł milicjant: „*Idź ty do swojego prokuratora, a on już niech to załatwi*”. Z tego Kopajgrrodu do stacji żelaznodaroznej [dworca] było sześć km., doszedłem pieszo, poczekałem na jakiś pociąg, jechał towarowy, dojechałem do Baru. Tam ze stacji było jakieś siedem kilometrów. Zaszedłem do tego swojego prokuratora, ten do kierownika... A ten prokurator, jako człowiek, był dobry. I powiedział: „*Nie bój się, ja tobie nie pozwolę nic złego zrobić, a w razie czego powiem, żeś wyjechał*” I tak zrobił. I mnie zwolnili. A, ot..

J.L. Jak ks. Kuczyński chciał z jakimś księdzem, np. z ks. Martynianem Darzyckim porozmawiać, to nie w kościele, ale przyjeżdżali do nas w nocy. Rozmawiali po cichu. A mieliśmy przez jeden dom sąsiada, komunistę. I ten po jakimś czasie coś zauważył, doniósł. Tato pracował jako taksówkarz. Szanowali tatę, mimo, że wiedzieli, że chodzi do kościoła. Ale wtedy to już musieli go zwolnić, choć była to jedyna taksówka w mieście. Tak samo ksiądzki, w latach siedemdziesiątych ks. Bernacki woził je do naszej babci. Babcia z dziadkiem mieszkali na takim chutorze, więc w nocy z ks. Bernackim wozili te książki i chowali na strychu.

W Barze ks. Kuczyński mieszkał w zakrystii?

J.L.: Tak, było takie pomieszczenie z tyłu, jak gdyby dobudowane do kościoła. Grzało się węglem, dopiero pod koniec siedemdziesiątych lat dobudowano centralne. Mieszkał z siostrą, Manią, była jeszcze pani Zosia, która im pomagała, sprzątała kościół. Węgla nie można było tak po prostu kupić. Ludzie przywozili taczkami do kościoła, co kto miał. Była taka pani Cela, księgowa w cukrowni. Po cichu wozila taczka węgiel do domu, a potem z domu przez całe miasto targała tę taczka do kościoła, żeby było czym w piecu napalić.

Dbaliśmy bardzo o ks. Kuczyńskiego, byliśmy jak wielka rodzina. Trzeba było mieć doświadczenie w załatwianiu różnych spraw. Po wyjściu z kościoła zbieraliśmy się razem, żeby się naradzić, choć były osoby najbliższe. Jak przykładowo ksiądz miał pojechać do innej parafii, to trzeba było jechać do pełnomocnika do Winnicy prosić o pozwolenie. Pamiętam, mama i inne kobiety nieraz jechały. Kiedy jeszcze nie było ks. Kuczyńskiego, a tylko dojeżdżał ks. Chomici, to trzeba było za

każdym razem jechać i prosić, żeby mógł przyjechać. Musiała być kontrola, „po co” i „kiedy”.

Czy księża przyjeżdżali też potajemnie?

J.L.: Chyba tak, bo czasem była jakaś spowiedź „po cichu”, czy na cmentarzu. Pamiętam taką opowieść. Mama z tatą pochodzili z Derażna. Tam był w czasie wojny ks. Michał Żukowski, on przygotowywał w 1944 mamę (Józefę, z d. Karosewicz) do I Komunii św, zachowała się „Pamiętka Komunii Św”. Mam tu obrazek pamiątkowy. Oboje dziadkowie pochodzili ze wsi, z bardzo pobożnej rodziny. Kościół w Derażnie rozebrano w 1937, ale na cmentarzu była kapliczka. Księdza nie było. Dziadek, mamy ojciec, pracował 10 km od domu, rozładowywał towar na kolei. W niedzielę wstawał z rana, szedł do tej kapliczki, choćby deszcz był, czy mróz. Do tej kapliczki było 15 km, była daleko za miastem. W czasie wojny jeszcze, czy już może po – przyszła z tej kapliczki taka jedna pobożna pani, Wicia. Mówi do Babci: „Czy ty by mi nie dała córkę Józję, żeby ja z nią poszła do Baru? Trzeba uprzedzić ks. Żukowskiego, żeby natychmiast uciekał”. Nie wiem, o co tam chodziło. Ksiądz był wtedy w Barze. Babcia od razu: „No bierz!” Mama miała może 13-14 lat. Była zima, mróz, nie było w co ubrać, owinęły ją w taką grubą chustkę. Szły 25 km do Baru, w nocy. Kiedy doszły do Baru, mama już nic nie chciała, była taka zmęczona, mówiła: „Podajcie mi tylko ciepłą herbatę”. Plebania była wtedy nie w kościele, tylko za nim, w stróżówce, tam mieszkał ksiądz. Podali herbatę w kuchni, wspomina mama, a pani Wicia poszła z księdzem i długo, długo coś dogadywali. Gdy pani Wicia wróciła, mówi: „Idź z powrotem, z wiadomością”. Poszła znowu, 25 km. Księdzu coś groziło. Pewnie go

chcieli wsadzić do więzienia. Nie pamiętam, w którym to było roku, ale gdy już wojna się skończyła, komuna bardzo szalała. Mama urodziła się w 1929.

Czy za ks. Kuczyńskiego byli grekokatolicy księża?

Nie wiem, ale chyba dojeżdżali po kryjomu z Winnicy, spowiadali na chórze. Potem przyjeżdżali ks. Stefan ze Lwowa i ks. Grzegorz chyba z okolic Iwanofankowska. Ks. Bernacki zapraszał grekokatolików, ksiądz grekokatolicki mieszkał u niego i tworzył parafię.

Na cmentarzu w Spassku, niedaleko Karagandy, pan Kwapisz opowiadał uczestnikom pielgrzymki historię swojej rodziny, jak to za wydlubanie w szkolnym podręczniku oczu na portrecie Stalina przez ucznia, ojca opowiadającego, rodzina, ledwo skończył się jej czas zesłania, została zesłana po raz drugi. Kiedy Ksiądz Bukowiński pytał po latach u nich w domu gromadkę chłopców, czy wierzą w Boga, to właśnie syn tego dawnego ucznia, jako jedyny wśród milczących dzieci, odpowiedział „Wierzę”.

J.L.: Pamiętam, jak w elementarzu ukraińskim zarysowałam ołówkiem jasne czoło Lenina. Tato spytał surowo, kto to zrobił? Przestraszyłam się. Powiedziałam, że to mój młodszy o trzy lata brat, Sławek. Trzeba było gumkować.

J.L.: Później ks. Bernacki mawiał: człowiek ma dwa zamki: usta i zęby. Bo np. babcie po wyjściu z kościoła, czekając na autobus, lubiły głośno opowiadać, co tam mówił ksiądz w kościele.

L.O.: Babcia moja w Tainszy całe życie czytała modlitewnik, a mówiła, że nie umie czytać ni pisać.

G.L.: Oprócz ks. Bernackiego, mamy jeszcze jednego biskupa. Bp Leon Mały,

biskup pomocniczy we Lwowie. Nasz sąsiad, mieszkał na mojej ulicy.

J.L.: Jego brat rodzony to mojej mamy chrześniak. Też jest księdzem, gdzieś na zachodniej Ukrainie.

To „dzieci” ks. Kuczyńskiego?

J.L.: Lonia tak, ale Piotr już nie, jest trzy lata młodszy ode mnie. Ale ich rodzice byli związani z ks. Kuczyńskim. Teraz to już nie wiem ilu jest, ale jak wyjeżdżaliśmy z Baru, było pięciu kapłanów z parafii barskiej.

Ks. Kuczyński pisał, że w chwilach trudnych patrzył na swój piękny kościół. To go umacniało. Mawiał: „żeby to piękno, które jest na sklepieniu kościoła, odbiło się w ich duszach, aby mogły być coraz piękniejsze”.

J.L.: Tak mówił. Mieliliśmy piękny kościół. Odnowił go właśnie ksiądz. Szkoła ks. Kuczyńskiego. Rozumiem, że może ks. Chomiccki chciał jakoś „wykrzesać jeszcze coś więcej” z parafii, poza tym ks. Bernacki, którego bardzo lubił, został właśnie wyświęcony i tak to „załatwił”? Nie wiem. Ale dla ks. Kuczyńskiego to odejście było ogromnie trudnym przeżyciem. Myślę, że nie zesłanie, ale to było dla niego największym krzyżem w życiu.

...Tu na zdjęciu prymicie ks. Bernackiego w barskim kościele, widać te piękne lilijki na ścianach. Malowano je za ks. Kuczyńskiego.

G. L.: Trzeba powiedzieć, że za ks. Bernackiego też kościół był remontowany.

J.L.: Ale to było raczej odświeżanie. Malowidła były nałożone za ks. Kuczyńskiego. W latach trzydziestych był tu skład ziarna, ale krótko. Po wojnie stale księża przyjeżdżali. Tu na zdjęciu, widać ołtarz, nie wiem czy był zrobiony za ks. Kuczyńskiego, czy wcześniej. Ks. Darzycki mówił zawsze, że wizja tego ołta-

rza była kiedyś inna, że on tu nie pasuje. Ale ja pamiętam tylko ten, więc według mnie, pasował bardzo. Potem stół ołtarzowy ustawiono trochę z boku.

Jaki był los barskiego kościoła w latach trzydziestych?

A.B.: Był tam magazyn zboża, ale krótko. Gdy nastąpiła kolektywizacja, zaczęli do kościoła zwozić zboże. Najpierw przez okno zasypali część ołtarza. Postawili tam cztery dziewczyny, żeby „rozprawiły” to zboże. Jedna z nich stanęła koło ołtarza, obok figury Matki Bożej. Powiedziała do tamtych: „zobaczcie, czyż ja nie ładniejsza od tej? I w tej chwili stała się martwa. I potem już zboża nie sypało. Kościół potem był już swobodny. Czy to nie cud?”

J.L.: Tak ludzie wtedy tacie opowiadali. ...A to kościół barski. Tylko to brzydkie ogrodzenie przed nim, to płot przed szkoła. To wszystko to był teren kościelny. W latach siedemdziesiątych zaczęto budować przedszkole, przyjechały buldożery, żeby zwalić mur dookoła kościoła. Kilku parafian położyło się do rowu. Powiedzieli: „Niech buldożery przejadą po nas, nie pozwolimy na wjazd”. Ale zrobili drogę przez podwórko kościoła i okroili teren, powstało nowe ogrodzenie. Pamiętam tato przyszedł do domu, taki roztrzęsiony: „niech mnie zabiją, pokroją, nie pozwolę...”.

A jak wyglądała nauka języka polskiego?

J.L.: W domu mama uczyła mnie czytać i pisać po polsku. Choć skończyła tylko cztery klasy, po polsku nauczyła ją jej mama. Mama mówiła: „Otwieraj litanię do Matki Boskiej i czytaj – tak się nauczysz”. A litanie znało się przecież na pamięć. Jak szłam do pierwszej klasy ukraińskiej, to już po polsku umiałam czytać.

I tak my wszyscy. Mieliliśmy elementarz, ale w nim były tylko „*ele mele eska*”, proste rzeczy; czytać nauczyliśmy się z książeczki do nabożeństwa. Rodzice ojca mówili w domu tylko po polsku. Tato opowiadał, że jak wracał ze szkoły do domu i zaczynał mówić po ukraińsku, to dziadek zaraz w krzyk: „*W domu mówimy tylko po polsku!*” Dziadek miał jeszcze elementarz dawny, może z przedwojennej Polski, ale do szkoły polskiej już nie chodził. Obydwoje dziadkowie pochodzili z Derażna. Mama opowiadała mi o Barze, bo jak była dziewczynką, często szli do kościoła w Barze na piechotę. Ale my oboje urodziliśmy się już w Barze. W domu babci Gienka też mówiono tylko po polsku. Jego prababcia miała majątek w Mohylowie Podolskim.

G.L.: Gdy babcie nam opowiadały o tamtych czasach, to myśmy nie słuchali... Babcia Marynia opowiadała, że w domu nad rzeką mieli dużą bibliotekę, ona sama chodziła jeszcze do żeńskiego liceum, to niedaleko za kościołem. Ale jak komuna przyszła, musieli wszystkie książki w nocy wynieść i spalić. Zaczynały się represje, aresztowano mężczyzn: tutaj mordowano całe wioski.

J.L.: Polską szkołę w Barze zamknęli w 1934. W tym samym budynku była potem szkoła ukraińska, oboje z mężem do niej chodziliśmy. Ale w chórze kościelnym śpiewała taka staruszczyca, pani Marcia, która była kiedyś nauczycielką. Mama mnie do niej prowadziła, żebym umiała trochę więcej, niż to, czego ona mnie nauczyła. Pamiętam, jak ćwiczyliśmy pisanie, mówiła mi, gdzie „ą”, „ę”. Dobrze nauczyłam się pisać, gdy mój wujek, taty brat, był w Barze w siedemdziesiątych latach organistą. W chórze było 50 osób, trzeba było przepisać partytury, słowa pieśni. Śpiewano na cztery głosy. Nie miałam

żadnych kłopotów z językiem, kiedy tu przyjechaliśmy.

Jaką Polskę „zastaliście” Państwo po przyjeździe w 1997?

J.L.: Moja mama tak chciała do Polski! Tak chciała, że wieźliśmy ją w kołcu i myśleliśmy, że jej nie dowieziemy. Była już bardzo schorowana. Jednak żyła jeszcze osiem lat. Była bardzo rozczarowana. Nie sprawami materialnymi, ale – wiarą. Myślała, że tu taka wiara! Odniesienie do Kościoła. I nie mogła też przeżyć, że ksiądz, gdy przychodzi, mówi „*Dzień dobry*”. Tato w domu wszystkich nas uczył mówić „*Niech będzie pochwalony...*”, gdy szliśmy z kościoła. Mówię: „*Tato, niech sobie ludzie mówią: «Niech będzie pochwalony», «Szczęść Boże» czy «Dzień dobry», jak chcą*”. Jednak żeby tak powiedział u nas ksiądz – to było nie do pomyslenia. ...Wszystko się zaniechało.

...Kiedy byłam mała, w szkole mówiło na mnie „*ksiondzycha*”, że do kościoła biegam. Kiedyś na lekcji nie wytrzymałam, rozplakałam się, wróciłam do domu i powiedziałam mamie, że do szkoły więcej nie pójde: na historii nauczycielka mówiła źle o księżach, źle o Polsce, że księża tacy, owacy... Moja mama mówi: „*Idziesz do szkoły*”. Wzięła mnie za rękę i poszliśmy prosto do zastępcy dyrektora, który był Żydem. Mama mówi, co to za porządki, że dziecko w środku lekcji z płaczem do domu biegnie, że na lekcji wyzywa się księży. „*A pan, to paznokcia księdza nie wart!*” – tak mu powiedziała. Mama taka była, że za Kościół oddałaby życie, i nas by oddała. W szkole była potem cisza... A po latach ta sama pani nauczycielka przychodziła do mojego taty na lekcje religii.

Mama mówiła mi: „*Do kościoła, do Pana Jezusa trzeba się ubrać na biało*” Ja chciałam mieć inną sukienkę, ciemniejszą, w kwiaty, ale nie, bo do kościoła, latem,

trzeba pójść na białą, wstążki do włosów też były białe, ewentualnie błękitne. Kiedy malowałyśmy pisanki, to ja zawsze barwiłam jedną kokardę na czerwono. Pannie do kościoła zakładały białe albo kremowe chustki.

G.L.: Twoja mama zakładała do kościoła taką białą, w delikatne kwiaty chustę. Najlepsze rzeczy zakładało się tylko do kościoła, nie chodziło się w nich nigdzie indziej, ani na wesele, ani nigdzie. To było ubranie kościelne.

J.L. Brat lekarz, ten, który w Winnicy wydawał „Credo” (potem przekazał je ojcom kapucynom), chciał zostać na Ukrainie. Kiedy powiedziałam mu, że jedziemy do Polski, powiedział, że chyba zgłupiałam. On tam musi zostać. Ja...załowałam tylko kościoła tam. Ale potem zrobiło się tam tak nieciekawie. Przyjechali księża z Polski, zaczęli odprawiać po ukraińsku. My, Polacy czuliśmy się, jakbyśmy tam stali się obcy. Starsi ludzie płakali, gdy nie było po polsku Mszy św. Tyle lat, od dzieciństwa dbało się o to, walczyło, żeby była ta polskość.

G.L.: A jakie remonty oni zaczęli robić; gdy to zobaczyłem, słabo mi się zrobiło. Taki piękny kościół barski, ładne witraże w oknach. Rozumiem, że okna drewniane, niszczej. Ale ksiądz przyjechał, wymienił na białe plastiki. Czegoś takiego nie robi się. A witraże! Były jeszcze od czasów ks. Kuczyńskiego! Owszem, remont, ale takie rzeczy trzeba robić stopniowo, nie od razu, tylko etapami. Plastik – do takiego kościoła! Tylko oszpecili. Albo te kafelki na podłodze! Za ks. Kuczyńskiego była cementowa wylewka, potem – deski drewniane. Teraz, gdy jest dostęp do wszystkich materiałów, można było dobrać odpowiednio do wnętrza, do stylu, wystroju, a nie pstrokatość, bo nie ma pieniędzy, bo szybko... W Winnicy np. w stolarskich zakładach produku-

ją bardzo dobre drewniane drzwi i okna, można było je etapami wymieniać. Nie było chęci, nie było komu doradzić?! Nie wiem. To boli!

W trudniejszych czasach to wszystko się znalazło, a teraz...

J.L.: Tak! Ksiądz Kuczyński to wszystko zrobił, odmalował.

G.L.: I to nie były małe koszty! To nie był koszt okien!

J.L. A potem jeszcze remontowali przecież organy i te organy grały. Prawda, teraz też grają, ale już nie tak.

Dlaczego w końcu Brat wyjechał?

J.L. On był bardzo ideowy, ale też musiał z czegoś żyć. Starał się o zwrot kościołów, zakładał komitety tych „Piętnastek”, czy „Dziesiątek” w winnickim województwie. Obok pisma, prowadził też zespół „Credo”, wydawał kalendarz katolicki. Walczył, pomagał; żył tym. A potem stwierdził, że jest komu to przekazać, jest komu rządzić. Myśmy wyjechali, zabrali rodziców, wyjechała siostra. On został sam, bo brat z Rygi wyjechał wcześniej, w 1994. Gdy powstała niepodległa Łotwa, to Łotyśze nie dawali paszportu nie – Łotyśzom. Musiał więc gdzieś wyjechać.

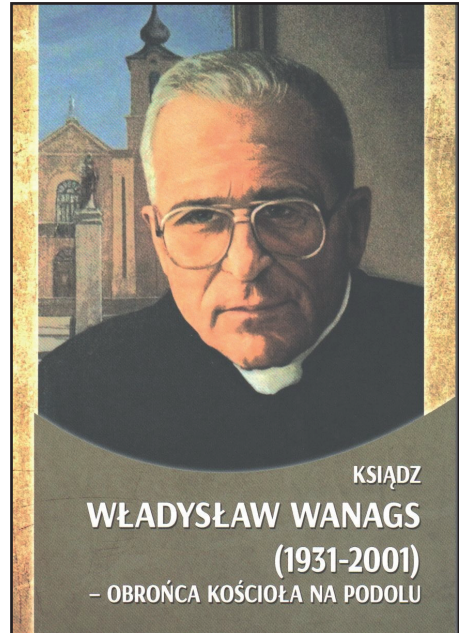
*Rozmawiała
Maria Kalas*



Wśród książek - Серед книжок

«ОТЕЦЬ ДЖЕЙМС БОНД». ВИЙШЛА КНИЖКА ПРО О. ВЛАДИСЛАВА ВАНА҄СА

«Пам'ятайте про наставників ваших...» (Євр 13,7). Вийшла друком книжка про отця Владислава Ванаса МІС (1931-2001). Він нагадував справжнісінького Джеймса Бонда. Потрапляв у різні халепи, але з кожної виходив сухим із води. Найзапекліших КДБістів майстерно обводив навколо пальця. Мав неабияке почуття гумору, але ще більшу віру, про яку впевнено можна сказати, що пересувала гори. Історія життя легендарного подільського священника о. Владислава Ванаса МІС (1931-2001) без перебільшення *«тягне»* на крутий голлівудський блокбастер, або ж, як мінімум, на книжку в стилі *«Квіти Отця Ванаса»*. Походженням – латвісець, колишній військовий, батько двох доньок, у 1969 р. він вступає до вищої духовної семінарії в Ризі. Після рукоположення, 2 серпня 1973 р., зголошується до Згромадження Отців Маріанів. А вже 1977 року, за дорученням архієпископа Юліанса Вайводса, приїздить працювати до парафії св. Станіслава – Єпископа і Мученика, у м. Городок, що на Хмельниччині. І проживе там аж до смерті. Він уславився як невтомний будівник, адже впродовж життя збудував не тільки духовну семінарію та дім Божого Милосердя у Городку, а й 20 нових храмів та ще 29 помешкань для священників на Поділлі. Крім того, відновив 9 храмів, які потребували капітального ремонту. За це, серед іншого, 28 березня 2001 р., польська фундація «Справа Нового



Тисячоліття» у королівському замку у Варшаві вручила о. Ванасу нагороду «Totus», яку ще називають *«католицькою Нобелівською премією»*. Хто не чув про його виняткові стосунки зі св. Антонієм Падуанським або ж про славнозвісне привітання *«Мир вам!»*, перед яким не могли встояти ні чиновники, ні міліція, ні спонсори, ні навіть церковні ієрархи..? У складних тоталітарних умовах він досить добре орієнтувався, кому подарувати іконку, а з ким випити коньяку. Був надзвичайно вимогливим, але разом із тим милосердним. Багато молився і

постив, вражав своїм аскетичним стилем життя. Подейкували, що колись босому безхатченку віддав свої нові черевики. Нікому не відмовляв притулку в домі Божого Милосердя, навіть попри те, що персонал не раз був проти. Любив людей і безмежно їм довіряв. Його натомість часто грабували. Але хіба це проблема, якщо вірний приятель, св. Антоній з Падуді, завжди все повертав сторицею? Отець Владислав важко працював, багато подорожував і дуже любив рибні страви. Коли мій батько із Далекого Сходу привозив йому в подарунок червону ікру, він сором'язливо запитував монахино-господиню, чи може її з'їсти ложечкою і без хліба. Я знала його особисто. Він мене охрестив, згодом із його рук я отримала Перше Святе Причастя. Ми часто спілкувалися. Можливо, не з усіма його поглядами я погоджувалася особисто, проте завжди вбачала в ньому юродивого Христа ради, шаленого душпастиря, людину з великим серцем... Його поважали всі: і віруючі, й невіруючі. Для когось він був отцем Владиславом, для інших – Владиславом Павловичем, однак для всіх без винятку – авторитетом. Сьогодні ж, у Городку, храм, збудований його руками, стоїть по вулиці, що названа на його честь. Саме тому польською книжку молодого науковця Владислава Рожкова «*Ksiądz Władysław Wanags (1931-2001) – obrońca Kościoła na Podolu*» («Отець Владислав Ванатс (1931-2001) – захисник Церкви на Поділлі»), яка нещодавно вийшла друком в острозькому видавництві «Воляння з Волині», я вважаю неоціненним подарунком і водночас скарбом для Римо-Католицької Церкви в Україні. Переконана, що мою думку поділяє також єпископ-помічник кам'янецький Ян Немец, який у вступі до монографії, серед іншого, написав: «Завдяки автору

ми можемо хоч би трохи придивитися до особи отця Владислава Ванатса, а також до людей, які його оточували і разом з ним боролися за віру. Врешті-решт, можемо почути його голос, інколи суворий, проте завжди щирий, який лине з серця, що завжди турбується виключно про Божу славу». Варто додати, що протягом останніх п'ятнадцяти років серед істориків та богословів РКЦ в Україні постійно панувало переконання про необхідність написати книжку про отця Владислава, однак ніхто так і не наважився на ґрунтовне дослідження його біографії. Отож тим більше тішить, що така монографія, врешті, вийшла у світ, до того ж з-під пера хоча ще зовсім юного, проте цілком компетентного дослідника. Книжка Владислава Рожкова надзвичайно цікава, насичена змістовним історичним фактажем, видобутим з архівних матеріалів і глибоко переосмисленим автором. У ній – багато спогадів і світлин. Без сумніву, це видання можна вважати відповіддю на заохочення автора Листа до Євреїв: «Пам'ятайте про наставників ваших, які звіщали вам Слово Божє і, дивлячись уважно на кінець їхнього життя, наслідуйте їхню віру» (Євр 13,7). Мабуть, єдиним недоліком монографії є те, що на обкладинці відсутні ім'я та прізвище її автора. Проте, очевидно, і це на краще. Адже, як каже Соломон, «острах Господній – мудрості навчання, а славу випереджує покора» (Прип 15,32). А я впевнена, що монографія пана Владислава Рожкова дочекається не одного перевидання, і не лише польською мовою...

Ірина Сашико

Źródło:

CREDO: <http://credo.pro/2018/08/216226>



Poezja - Поєзія

STEFAN BARDCZAK – ZAPOMNIANY POETA GRUPY LITERACKIEJ WOŁYŃ

Obraz tego poety powinien być prosty i jasny. To cechy serca i wrażliwości poetyckiej, zarazem owoc pracy poety. Ten obraz przywołuje też zapomniany czas. Spojrzenie z lotu ptaka? Obok wrażenia prostoty i jasności – to coś, co na tle dzisiejszej poezji jest chyba jej walem: to poruszanie się na granicy zmienności i niezmienności rzeczy przy wyrazistości szczegółu, nie tego, który „ląduje” w wierszu na skutek koncepcji wypowiedzi, w której pozornie tylko waży, a tak naprawdę jest dodatkiem do niej, ale tego, który jest prawdziwie ważny dla przeżywającego świat podmiotu. Anna Kamieńska napisała: „*nic nie jest ważne, jak to, co jest niby nieważne*”. Brzmi w tej poezji napięcie doświadczania sytuacji na „*krawędzi*”: rzeczy mijają, ale domagają się świadectwa w wymiarze duchowym, społecznym, poetyckim. Zawierają w sobie rys piękna, są darem. Zapis chwili ulotnej, z jej otwarciem na sferę cienia, miłości i tajemnicy, przy jednoczesnym zasłuchaniu w oddech dziejów jak natura poddanych przemianiu, zanurzonych w bujnej wołyńskiej przyrodzie muzycznie dźwięcznej – to dar tej poezji późno odnalezionej.

„*Z starych murów sypkim miałem sphywa
czas,
na rumowisku pędy nowe puszcza brzoza:
tamto jest przeszłość, a to terażniejszość –
któryś tam maj, słowik garłoli
w nadwilejskich łozach*”
/„Ostróg”/.



Stefan Bardczak

*Fot. z artykułu Józefa Łobodowskiego
„Poezja Wołynia”, „Kurier Literacko-
Naukowy”, nr 50 z 12 XII 1938 r., s. 8-9.*

Tych skromnych wierszy nie trzeba czyścić z kurzu. Pozostawiają odczucie świeżości, zaciekawienie szerokością poszukiwań twórczych i radość więzi autora z czytelnikiem. Zostaje pod powiekami widok miasteczek leżących nad Horyniem i Wilią w zdolbunowskim powiecie, głównie Ostroga i jego okolic, w lapidarnym skrócie, konturach obrysowanych wyrazistą kreską ożywiającej metafory, zostaje muzyczność i finezja rytmu, zapis na-

dziei przyszłości i szczerść serca poety. Trzeba uzupełnić, czego nie napisałam, bo jest jak rozproszone, niewidoczne powietrze – serce wierzącego poety, który świat traktował poważnie.

OKRUCHY ŻYCIORYSY

Ułamkowe dane biograficzne można zestawzić na podstawie kilku adnotacji przy utworach publikowanych w „Życiu Katolickim”, „Na Szerokim Świecie”, „Kurierze Literacko – Naukowym”, „Kamienie”, Głosie Nauczycielstwa Wołyńskiego” i „Zniczu” oraz notek redakcyjnych Czesława Janczarskiego, który prowadził w „Życiu Katolickim” od lutego 1936 do końca 1938 Kolumnę Literacką Grupy Wołyn [1] i komentował w niej twórczość kolegów. Bardczak pojawił się w „Życiu” po IV kolumnie. Obaj poeci publikowali w piśmie również poza kolumną, także w 1939. Udało mi się zebrać zaledwie 39 wierszy z powyższych czasopism; spośród nich najczęściej publikował w „Życiu Katolickim” i „Na Szerokim Świecie”. Najważniejszą informację biograficzną przynosi „Kuźnia Młodych” w nrze 15 z 1933. Było to pismo promujące twórczość literacką młodzieży szkolnej (wśród gimnazjalnych redaktorów, przyszłych poetów był Wacław Iwaniuk z Chełma). Pismo opublikowało zabawne dialogowane opowiadanie z życia leniwego ucznia, pióra Stefana Bardczaka, z IV kursu (klasy) Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Ostrogu. Tekst zdobył I nagrodę w konkursie. W kolejnym numerze pisma znalazł się wyróżniony tekst Bardczaka „Z życia «Buraska»”. Ponieważ do reformy jędrzejewiczowskiej z 1932 Seminarium Nauczycielskie były średnią szkołą zawodową bez prawa wstępu na wyższe uczelnie i kształciły młodzież, która ukończyła 7 klas a co najmniej 4 (w takim wypadku obowiązująca

by jeszcze dwa lata nauki wyrównawczej), od 14 roku życia, w systemie pięcioletnim poprzedzonym (chyba nie zawsze) rocznym kursem wstępnym, można obliczyć, że poeta zdał zawodowy egzamin dojrzałości w 1935, a urodził się nie później niż w 1915 roku i chyba nie wcześniej niż w 1912. Byłby więc rówieśnikiem Rumla, Iwaniuka, może Milczarka, starszy od Ginczanki, a młodszy od Janczarskiego i rzecz jasna Śpiewaka i Szajdaka. W wierszu „Pożegnanie Ostroga (Kolegom szkolnym)” opublikowanym w „Życiu Katolickim” w 1936 znajdujemy poetycką reminiscencję zakończenia szkoły

*„Z dyplomami, zasługą pięciu lat
ze słodkim wytchnieniem po groźnej
maturze
wyruszyliśmy zielonym, jak my,
autobusem w świat
z nadzieją, że dni słońca nam się będą, jak
szlachetne róże
(...)
Szpaler starych domów, starczo
pochylony rynek,
długa, jak rok szkolny, ulica Tatarska
i już — jak ojcowskie pożegnanie
z synem.
Autobus pod górę zżymał się i parskał”.*

Nie wiadomo, gdzie młody nauczyciel szkoły powszechnej otrzymał pierwszą pracę. Jednak Ostrog i jego okolice pozostaną głównym, lirycznym motywem jego utworów.

„Kurier Literacko-Naukowy” przynosi kolejne informacje. W numerze 11 z 1937 wiersze z cyklu „Wycinanki” opatrzone zostały adresem: Kraków, zaś w numerze 51 z tego roku wymieniony został Kostopol (wiersz o takim tytule – portret zmęczonego upałem miasteczka zamieścił poeta w „Na Szerokim Świecie” w 1935). W tymże numerze „Kuriera” poinformowano, że „Prolog” (drukowany w „Życiu Katolickim” półtora roku wcześniej jako

wiersz z cyklu „Krajobrazy Wołynia”) „został wyjęty ze zbioru pt. «Wołyń bogaty», który niebawem ukaże się jako tomik IV Biblioteki grupy literackiej «Wołyń»”. Grupa jednak zakończyła działalność wydawniczą Biblioteki na trzecim tomie wydawszy poezje Iwaniuka, Janczarskiego i Szajdaka. Tomik Bardczaka i zapowiadana antologia poetów wołyńskich już się nie ukazały [2]. Nie wiadomo, czy Kraków był miejscem zamieszkania. Tylko w jednym wierszu pojawia się – i to jako element porównania – motyw krakowski. Raczej chyba poeta wkrótce zamieszkał w Kostopolu, wymienionym jeszcze w wierszu „Zamczysko”, a może w jednej z okolicznych wsi, w których małe czteroklasowe szkoły dzięki niezwykłemu wysiłkowi społeczności lokalnych, samorządów, pracy Towarzystwa Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych i Polskiej Macierzy Szkolnej powstawały jak grzyby po deszczu. W Kolumnie Literackiej z kwietnia 1938 w „Życiu Literackim” Janczarski prosi „grupowego towarzysza” o podanie nowego adresu – może chodziło o niedawny przyjazd do Kostopola.

W Krakowie ukazywał się „Kurier tygodniowy w obrazach i słowach dla miast i wsi” – „Na Szerokim Świecie”. Pismo wydawał koncern prasowy Ilustrowanego Kuriera Codziennego. Prawdopodobnie Bardczak (podobnie jak Iwaniuk) nawiązał z piśmie kontakt poprzez korespondenta IKC Stanisława Petersa, wcześniej nauczyciela języka polskiego w rówieńskim gimnazjum, który odegrał ważną rolę w obudzeniu zamiłowania do literatury Ginczanki, a w krakowskim piśmie zabiegał o współpracowników z Wołynia. Może też należał do ZNP – „Znicz” oraz „Głos Nauczycielstwa Wołyńskiego” były organami tego związku.

Nieobecność poety w powojennej Polsce jest informacją, że w czasie okupacji

lub po niej podzielił tragiczny los Polaków. Wstępne poszukiwania w IPN-ie nie przyniosły dotąd rezultatów.

ALBUM

Niedawno ks. Witold Józef Kowalów w Bibliotece „Wołanie z Wołynia” wydał album ponad stu zdjęć z 1936 „Państwo we Seminarium Nauczycielskie im. Komisji Edukacji Narodowej w Ostrogu nad Horyniem” przygotowany przez nauczyciela Dionizego Łuczyńskiego w ostatnim roku jedenastoletniego istnienia szkoły (w 1937 seminaria przekształcono na trzyletnie licea pedagogiczne). Na zdjęciach grupowych widzimy m. in. ostatnich kursantów z 1935 i 1936, ale nie potrafię dopasować do nich jedynego zdjęcia Bardczaka z 1938 z artykułu Józefa Czechowicza „Poezja Wołynia” [3]. Album jest niezwykłym uzupełnieniem życiorysu: obraz szkoły, kwalifikowanej jako średnia zawodowa, w istocie półwyższej, w której, pod opieką nauczycieli – pedagogów pozostających wobec przyszłych młodszych kolegów w relacji mistrz – uczeń i nierzadko realizujących autorskie programy, Stefan Bardczak uczył się przez co najmniej pięć lat. Zdjęcia pięknej auli z wielkim obrazem „Rejtan” Matejki z tyłu, z fortepianem na scenie na tle udrapowanej materii ze stylizowanym orłem w koronie w centrum, modernistycznymi lampami i wysokimi oknami pamiętajacymi czasy oo. kapucynów mówią o klimacie szkoły. Tutaj w 1938 na zakończenie Dni Katolickich ks. Władysław Bukowiński rektor Instytutu Wyższej Kultury Religijnej w Łucku i sekretarz diecezjalnej Akcji Katolickiej na akademii przygotowanej przez Sodaliję Mariańskie wygłosił odczyt „Polska – przedmurzem chrześcijaństwa”, wcześniej wykład dla inteligencji „O dynamizm katolicki polskiego społeczeństwa” i kazanie do młodzieży o

Akcji Katolickiej. Bardczaka w szkole już nie było, ale zapewne słuchał cieszących się popularnością wykładów na temat zadań inteligencji, godności pracy, nauki społecznej Kościoła i roli kresów w jednym z pobliskich miast i miasteczek, bo te właśnie południowo – wschodnie kresy kresów przyszedł Błogosławiony szczególnie umiłował. Oprócz Peremenki był we wszystkich „*opowiedzianych*” przez poetę miejscowościach. Poeta czytał przeciw jego artykuły na temat wychowania, godności nauczyciela, jego roli na kresach i twórczej myśli katolickiej: niektóre sąsiadowały z jego wierszami. Ks. Bukowiński głosił wykłady dla środowisk Stowarzyszenia Chrześcijańsko-Narodowego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, brał aktywny udział w ich zjeździe w Sarnach (szefową Oddziału w Łucku była Jadwiga Furmanowa, marna poetka, ale działaczka oświatowa i wielbicielka twórczości młodych, m. in. Bardczaka). Ks. Bukowiński pisał zapowiadając w 1936 ogólnopolską pielgrzymkę nauczycielstwa: „*Ktokolwiek jest wychowawcą polskiej młodzieży i pragnie swą pracę nauczycielską oprzeć o nieprzemijające Boskie zasady wiary i moralności Chrystusowej, ten winien znaleźć się w szeregach ogólnopolskiej pielgrzymki nauczycielskiej na Jasną Górę. Chodzi tu bowiem (...) o przyszłość Polski, którą nasze nauczycielstwo dosłownie wykuwa ciężką i ofiarną swą pracą, jakże często, zwłaszcza u nas na kresach, prowadzoną w warunkach najniegodniejszych*”. Jak ciężkie to były warunki, o tym można poczytać na łamach ówczesnego „*Życia*” i „*Wołynia*”; mówi o nich wiersz Bardczaka „*Z mojej szkółki*”. Poeta musiał być co najmniej świadkiem ówczesnego wzrostu aktywności katolików świeckich ze środowisk Akcji Katolickiej, inspirowanej przez obu redaktorów „*Życia Katolickiego*”, znaczonego nowymi instytu-

cjami społeczno-oświatowymi. Przypomnijmy tylko to: pierwsze Koło Polskiej Inteligencji Katolickiej powstało w Łucku w 1933. Koło w Równem (temu miastu poświęci wiersz „*Równe nocą*”) powstało w 1938 i w styczniu następnego roku liczyło 48 członków. By nie wymieniać faktów, ale jednak przybliżyć klimat, chciałabym przytoczyć dwa cytaty z „*Życia Katolickiego*”. Ks. Bukowiński mówił o „*twardych wymogach katolickiej sprawiedliwości społecznej*” i: „*Niech wzrasta na kresach Polska nowa, do głębi katolicka, a w codziennym trudzie jej budowania niech cały naród wspiera tych, co życiem swym i pracą ofiarną dziś, jak przed wiekami, tworzą na wschodzie żywe i niezniszczalne Przedmurze chrześcijaństwa*” (1938). Ks. Zygmunt Chmielnicki: „*wy-daje się ciężkim przewinieniem jakakolwiek bezczynność tych, którzy mogą pracować nad przerobieniem wewnętrznym dusz ludzkich. Chciałoby się wołać do każdego katolika: nie śpij, nie marnuj czasu, nie oglądaj się na zapłatę, lecz działaj! Jeśli możesz przemawiać – przemawiaj, jeśli możesz pisać – pisz, jeśli możesz wpływać na ludzi w rozmowach prywatnych – wpływaj, jeśli możesz w czymkolwiek poprzeć katolicką działalność innych osób – popieraj. A zarazem wspieraj dobre dzieło swoją modlitwą. Tylko nie śpij, na miłość Boską, nie śpij!*” (1936). Bardczak był przede wszystkim lirykiem, ale mocne są przeciw napięcie i wysiłek woli, i radość z dokonujących się na jego oczach przemian. Pragnął je wypowiadać. Radość ta dźwięczy w „*Wołyniu*”:

„*Rosną nowe miasta,
Janowa Dolina wykwiła,
Wołyni nowy wzrasta
w maszyn skowycie i zgrzytach.*”

*Wózki z bazaltem płyną
w górę i na dół z powrotem,*

*dzienną i nocną godziną
dzwonią o bazalt młoty*".

Podobnie w „Prologu”:

*„Pójdziemy do chałup niczym po kołędzie,
radosną nowinę rozgłosimy wszędzie:
rodzi się Wołyń, Wołyń wielki, nowy,
wykutą ręką pracy – Wołyń bazaltowy”.*

Wiersz „Janowa Dolina” jest świadectwem nowej rzeczywistości wołyńskiej i poszukiwań nowego języka poetyckiego (kształconego w szkole Awangardy Krakowskiej), którym można wyrazić rytm nowego stylu pracy. Choć nie jest to naiwna fascynacja nowoczesnością! W „Rytmie o Janowej Dolinie” obraz tej pracy jest ambiwalenty. Rym łup – trup, przy stylizowanym określeniu „legniesz” jest chyba sygnałem dystansu (czy żartobliwego?) podmiotu wobec opisywanego stylu pracy:

*„Pazurami ryć! Na chleb – by żyć –
by naprzód –
wciąż naprzód iść!
(...)”*

*Wessać się w ziemię pijawką-
bazalt wyssać, jak krew,
choć straszny jest ziemi gniew:
ziem [!] rękę wyciągnie po łup
i legniesz milczący – tak – trup.*

*W trybów ostrym zgrzycie
stali świszczącym skowycie,
pary szerokim oddechu
w głąb ziemi po śmierć – po życie!
Naprzód szary człowieku!”*

Wydaje mi się, że można odkryć więź między tym misternym urozmaiconym rytmem, „więzami” poezji, przez które ona jednocześnie „wybucha i trzyma się w ryzach”, wedle słów Lechonia, a tym właśnie głębszym czuciem sensu i celów – choć może trudno byłoby to uzasadnić. To odczucie ładu i hierarchii spraw. Dlatego, gdy myślę o jego miejscu na tle poetyckiej grupy jego rówieśników, najbliższym

wydaje mi się Zygmunt Rumel, z jego zaangażowaniem społecznym, wrażliwością na rytmikę wiersza i moc słowa („*Poema by nam trzeba stworzyć polskie nowe...*”)

Bardczak wyraża podobne pragnienia, ale, co jest dla niego charakterystyczne, uzupełnia je o obraz serca, o kontekst wiary.

Inne zdjęcia z ostrońskiego albumu ukazują kaplicę szkolną, prace przy zakładaniu szkolnego sadu i ogrodu botanicznego, bogato wyposażoną, estetyczną pracownię robót ręcznych i rysunków, w której robiono kajaki oraz scenę ich wodowania na Horyniu. Musiał nimi poeta pływać po rzece, może do tych przeżyć nawiązuje piękny wiersz „Horyń” z 1935 i „Do Horynia” z 1936 roku. Obok kajakarstwa, wówczas tak popularnego na Wołyniu, w szkole uprawiano narciarstwo. Na jednym z zdjęć widać szereg kursantów na nartach z prof. Dobrowolskim i prof. Sobieskim. Wiersz „2 stycznia” jest obrazem śnieżystej przestrzeni zmierzonej ruchem przebywającego ją narciarza („*Białym opłatkiem śnieg na polach leży / nie wiem, skąd przybyło lazurowej dali, / nartami dal można za pięć minut zmierzyć/ na horyzoncie krzyknąć zwycięskie hallalli!*”) – to za dnia, druga zwrotka to częsty motyw odpowiadania poezją – tu kołędami – za gościnę w czasie wieczornego kołędowania.

Odesławszy czytelnika do tego albumu, w którym można znaleźć nazwiska profesorów uczących Bardczaka, za dyrektorowania prof. Mieczysława Gawęckiego, wspomnę jeszcze zdjęcie płk Janusza Brochwicz-Lewińskiego, dowódcę 19 Pułku Ułanów Wołyńskich w otoczeniu harcerzy. W mieście, w którym na skraju dzielnicy wschodniej przebiegała granica z Rosją Sowiecką pełnił służbę także batalion graniczny KOP „Ostróg”. Poświęci mu autor wiersz „*Korpus Ochrony*”

Pogranicza”, poetycko słaby i dziś śmieszący nadmiernym patetyzmem, ale wyrażający szczere uczucia („*Już lepiej sercem, to za mało wierszem*”). W obrazie Równego znajdujemy z kolei poetycki obraz niepokoju związanego z tak bliską granicą ze wschodem.

KRAJOBRAZY WOŁYNIA

To Ostróg, Bielmaż, Kidry i Międzyrzecz Ostrogski, Kostopol, Peremenka, Równe i Sarny, Kazimierka, i rzeki: Horyń, Wilia i Zamczysko.

Krajobrazy niosą w sobie bogactwo wrażliwości malarsko-muzycznej autora, ale innej od tej, jaka wyraziła się w lekkich, akwarelowych wierszach Janczarskiego. Przypominają mi raczej malarstwo Matisse’a. To nieco niestosowne przywołanie: wielki francuski malarz i malutki wołyński poeta. Myślę tu po prostu o pewnej cesze tak wyraźnej u francuskiego malarza, a jakoś widocznej w tych wołyńskich „*pejzażach*”: o jasności spojrzenia i dążeniu do lapidarności barwnych konturów przedmiotów i postaci zatopionych w naturze. O emocjach przetworzonych w kształty, kontury, barwy. Józef Czapski, malarz i pisarz po wojnie tworzący w Paryżu napisał w eseju „*Matisse i tryglodyta*” („*Patrzac*”): „*Matisse dąży do coraz większej syntetycznej prostoty*”. Wyrazem takiego dążenia poety jest np. „*Lato w małym miasteczku*”:

„*Wiśnie, jak usta przyniosła mężczyzka
na targ, od skwaru wiśniowa,
kosze u rzemion kołysz, jak na stryczkach.*”

Brodaty handlarz nadszedł i wiśni skosztował”.

Scena na targu, podpatrzona kilkoma zaledwie „*kreskami*”: uchwycenie postaci ukraińskiej wieśniaczki, w jej zmysłowości, „*ciężarnej*” koszami wiśni, i żyda, handlarza, który „*nadszedł*” i „*koszto-*

wał”, kolor czerwony – „*wiśnie, jak usta*”, „*od skwaru wiśniowa*”, „*wiśni skosztował*” i brząz rzemieni, koszy. Kształty kobiety i koszy oraz pionowy wiszący rzemieni i kontur brodatego handlarza. Podobnie w wierszu „*Pogoda*”:

„*W miękkie powietrze wbija się klinem
dym –*

plynie pionem

i zagonem

ściele się na błękanie jak lekki rym.

Przestrzeń zrzuciła z siebie woale mgły,

wspaniale

odkryła dale

i nieboskłonu zębate szwy.

Pogodą płynąc i po wszechświata

drogach

coraz dalej,

coraz wytrwalej,

aż w nieskończoności spocząć

w ramionach Boga”.

Obraz ujęty został poprzez ruch pionów i poziomów, jakby malarsko wzmocnionych konturem („*wbija się klinem*”) i przestrzeni, jak osoby. Surrealistyczna metafora „*nieboskłonu zębate szwy*” buduje sugestywną wizję, która wchodzi w obręb działań poetyckich: „*dym (...) ściele się na błękanie jak lekki rym*”. Rytmika wersów rozwijanych i skracanych, związanych rymami buduje harmonię ruchu i dźwięku. Tu dominuje błękit i „*przejrzystość*”. Wszystko to doprowadza ku końcowemu obrazowi, wędrowaniu ku Bogu, jakby poetyckiej refleksji wniebowstępowania.

Poetycko piękny jest również obraz Peremenki, wsi obok Kostopola (dzisiaj jego dzielnicy) w wierszu o tym tytule:

„*Żebyście wiedzieli,*

że w Peremence

słońce gospodyniom białe płótna bieli,

gospodarzom żyto i pszenicę złoci,

że się prosbie cepów zwielokroci

w podzięce.

– O, ręce, błogosławione słoneczne
ręce!

Więc dzieci są słoneczne,
suknie, jak gęsi białolniane,
a gęsi jak chaty nadrzeczne –
dzieci w zieleni jak motyle,
chaty jak motyle,
i leśniczówka świerkami, jak dzbanem,
czerpiąca leśne powietrze żywicą
wezbrane”.

Swobodna, jakby niewymuszona rozmowa z czytelnikami, „żebyście wiedzieli” dobrze służy w ostatniej zwrotce obrazowi dziewcząt, które

„w zapaskach białych do rzeki
noszą srebrne śmiechy
i w nurt daleki
rzucają je, jak wianki, w noc

świętego Jana”

a potem daremnie oczekują spełnienia marzeń. Dwie pierwsze zwrotki prezentują misterną głoskową instrumentację wzmocnioną w drugiej zwrotce rytmem ciągu obrazów kojarzonych na zasadzie ludowej paraleli i porównań. Nadrzędnym tematem jest tu jasność słoneczna, źródło harmonii przyrody i ludzi, wywołująca ciągi obrazów i muzyczne asocjacje. Powtarzalność samogłoski „e” w pierwszych dwóch wersach wprowadza „słoneczność” otwartych, jasnych głosek „a” i „o” w kolejnych trzech wersach. Muzyczne wrażenie jasności wzmocnione jest barwą bieli i złota: „słońce (...) białe płótna bieli”, „żyto i pszenicę złoci”, w drugiej zwrotce to „słoneczne [dzieci]”, „[suknie jak] gęsi białolniane”, więc „gęsi jak chaty”. W końcówce drugiej zwrotki barwy te uzupełnione zostają kolorami lata, przede wszystkim zieleni: dzieci („jak motyle” – to też sugestia ich ruchliwości) i leśniczówki. Spojrzenie podmiotu przesuwają się na lesiste pogranicze wiojski, na koniec pojawia się wspomniany



Zjazd młodych literatów wołyńskich w Łucku w 1936 roku

Fot. z „Wołyń”, nr 17
z 26. IV 1936 r., s. 5.

motyw dziewczyn i rzeki. Druga zwrotka podobnie rozwija muzyczną przemienność samogłosek „e”, „a” i „o”. Warto tu jeszcze wspomnieć o kunsztownie rozmieszczonych rymach, które w drugiej i trzeciej zwrotce przybierają rzadki kształt dziewięciokrotnej sąsiadującej powtarzalności, spinającej też te dwie zwrotki (jeden rym niedokładny „podbija” motyw dzbana, pojawiający się w innych wierszach). Czy jest to nieregularny sylabotoniczny, czy raczej już wiersz toniczny, może inspirowany melodią utworów ludowych? Widać tu również terminowanie w szkole Józefa Czechowicza.

Poszukiwania poetyckiego wyrazu dla wijącego się Zamczyska, dopływu Horynia, „opowiedzenie” jego biegu dało niezwykły rezultat w wierszu o tym tytule. Rytm skonstruowany z długości wersów oddaje zmienną drogę rzeki:

„Na stawie wikła się w osokach, iwie,
oczerecie

i wiecie

dławi się w sidłach jazu – w tokach
cietrzew.

Mija Peremenkę, bory, jar, Korczewie
i w śpiewie

wpija się w Horyń – żmija w nagłym gniewie”.

I tu jest monorym; gdzie indziej dodatkowo rytmizują rymy wewnętrzne.

Może jeszcze kilka uwag na temat portretów miasteczek. „Ostróg, jak stary przyjaciel, dziś do mnie przyplynie (...) w zapachu żywic uśnie, sadów zakwitnie buketem” („Horyń”). Ożywione metaforą, poruszającą domy i ulice, ukazują kresową specyfikę miasteczka – jest ono otwarte, zatopione w ogrodach, wychodzi na pola, ma wiejsko – miejski charakter, jak w „Kostopolu”:

„Ulice, jak krowy, nabrzmiały piaskiem,
jak mlekiem, z miasta
wychodzą późnym wieczorem
na polach, po lesie, w Zamczysku się
szastać (...)

Palcami ścieżek biegną”.

Taka jest sceneria miłosnego oczekiwania na spotkanie, czy rozmów z przyjaciółmi. „Równa nocą” to niezwykła obserwacja zapadającego zmierzchu, nocy i przedświt w nadgranicznym mieście. Zjawisko przesuwającego się nocnego cienia wywołuje metaforę ucieczki latarni i ratunek nocy, jak gospodyni zagarniającej je „w zapaskę śniadą”. Droga na wschód – to ówczesna groźna droga donikąd:

„Pędem ulicami galopadą rejteradą
spłoszone latarnie
jedna za drugą uciekają dwurzędem –
noc je z brzaskiem w zapaskę śniadą
jak kurczęta zgarnie – –
droga na wschód prowadzi tamtędy.

Zawróćcie na północ za Wielkim
Wozem,

za wami księżyc,
miast wszystkich i miasteczek honoro-
wy obywatel,
właśnie nad Równem jak nad obozem
dzwon nieba naprężył
i w pierwszą uderzył na apel”.

Metafora księżycy, który „dzwon nieba naprężył” – może nawiązuje do „Zamiast inwokacji” Łobodowskiego („i słońce nad moją ziemią złotym podnosi się dzwonom”), a może wprost do Jesieni: („W dzwon niebieski biję księżycem”). To chyba nie jedyny wpływ autora „Złotej Hramoty”. Podobnie apostrofa „O tobie piszę (...) Ciebie sławię” („Do Wołynia”) nawiązuje do „Pochwały Ukrainy”. „Kisielin” stał się może źródłem umuzycznienia uli w liryku – „Kidry pod Ostrogiem”:

„Domy – nie domy, a rozkwitłe kwiaty,
ule – nie ule – gęźba skrzypiec,
tu na omszonych płotach
rozwiesiwszy szaty,
bosko goły plażuje się lipiec”.

Poetyka autora „Ostroga” jest jednak odmienna.

Wilia w wierszu „Nad Wilią”, stare mury i dzieje poddane są prawom czasu. Czy w tych świadkach egzystencjalnego doznania poety jest ślad heraklityjskiej rzeki?

„Bulgot wody szturmuje zamkowy wał –
Międzyrzecz:
cegiel, kamieni – puścizny dziejów –
zwał
schronienie nietoperzom i sowom
przyrzekł.

I wierzby rycerskie z słoneczną tarczą
nad łuskami fal zapragnęły się schylić,
monotonnie
w brzeg chybotliwy Wilii
bić dzwonne
wiekom jak starcom na skon.

Wilii podaj dłoń,
Zbytenko, Nowomalina i Luczyna
rzeko,
ciszy się spowiadaj drzemiącej
pod murem

i wiekom
żab w nenufarach rehotliwym
chórem”.

Wykrzyczane końcowe „*Jestem tutaj!*”, ułamki chwili, codzienność, wprowadzana w reportażowych migawce w wielu wierszach, erotyk w scenerii ogrodu („*Usta w sadzie*”) ale i zapis piękna, urody dawnego czasu dają odczucie pełni przeżywania swojego czasu – i szczególnego czuwania. Może stąd takie ujęcie lwa przed ostrogskim zamkiem z wiersza publikowanego wcześniej w naszym „*Wolaniu z Wołynia*”?

Wiersze Bardczaka to nie tylko jasna paleta barw. Wśród jasności czasem nagłe doświadczenie nieodwracalności śmierci, jak np. w pięknym wierszu „*Z jesieni wołyńskiej*”.

„*Stało się – jak dzień po każdej nocy:
kartofliska – dymią trybularze.
Czy za tym, co mija wołać pomocy?
Nie – śmiercią w gips zakłete twarze*”.

BADŹMY RADOŚNI

Te wezwanie towarzyszy śpiewie skowronków nad przydrożną figurą Matki Bożej w czasie poetycko-krajoznawczej wycieczki na drodze Międzyrzecz Ostrogski – Bór, kiedy:

„*nie bez szlachetnej finezji,
zbieraliśmy w Borze dojrzałe jak
jesień,
soczyste grona wołyńskiej poezji*”.

Podobny „*radosny powrót*” z wyprawy po azalie i – „*pożegnanie u wrót, jak zamknięcie poetyckie dzieła*” („*Azalie*”). Radość i szczerłość to cecha procesu tworzenia. W „*Celu wiersza*” miejsce poezji jest pośród innych prac służących ku dobru, jak praca stolarza i wyznaczony „*jasny krąg*” tematów:

„*Śpiew wiersza dla wszystkich,
na radość, na zbytki,
na zasłużony spoczynek,
upaja jak winem,
słowem.
Porwać motyle*

*na orle na loty,
na miłość i na splety
braterskie ramion.
A osty, badyle,
precz!*”

Scenerii tworzenia towarzyszy obraz biesiady, uczyty; na jedną poeta wzywa we wspomnianym już „*Prologu*”:

„*Lnianymi obrusami zaścielajcie stoły,
na ucztę bogatą zjeżdża młody Wołyń.
Otwórzcie, jak drzwi świętyń, serca
swe najszczęsze,
my Wam zapłacimy azaliowym
wierszem*”.

Na drugą 15 sierpnia w Kazimierce wzywają „*Gospodarze najlaskawsi*”:

„*Maria z Dzieciątkiem wyjdzie od
oltarzy,
witać z stron dalekich gości,
będzie pospołu gwarzyć i darzyć
ludzi sercem najprostszymi*”.

Uczta w wierszach Bardczaka to miejsce tworzenia wspólnoty, w którą poeta wnosi dar swoich wierszy. Użyte zwroty wskazują dyskretnie na sakralne podglebie owej uczyty, i czynią ten obraz nośnikiem treści znaczących. Uczta niesie skojarzenie z liturgią, ku niej zdaje się kierować też pragnienie poety: „*czystość chust ofiarnych dać widzieć każdemu*” Sceneria spotkania jest prosta, tak jak prości są jej bohaterowie. Odmianą tej sytuacji lirycznej jest kolędowanie („*za gościnę śpiewać radosne kolędy, w szopkach serc Chrystusa po raz wtóry rodzić*”) i scena przybycia do żłóbka. Najpierw „*przy żłóbku Dzieciątku swą dolę każdy opowie, jak Łazarz i chromy kaleka*”. Obok wierszy, melodii i pejzaży „*nieznani magowie, / odkrywcy gwiazdy piękna – muzyk, malarz i poeta*” składają właśnie „*to najszczęsze: serca prostotę*.” („*Trzej Królowie*”). „*Melodie twoje najgłębsze, najszczęsze*” powie tytułowemu Lirykowi w tak zatytułowanym wierszu, a w „*Wołyniu*” podpisze się nie-

co bukolicznie: „*jak zwykły pastuch bydła – twój wierny i najszczęśliwy grajek*”.

Ks. Zygmunt Chmielnicki w 1936 serdecznie powitał na łamach pisma członków Grupy Literackiej Wołyni: „*Utworki młodych naszych literatów, wyrażające niekiedy myśli w sposób bardziej złożony, nie są zapewne dostosowane do poziomu pisma popularnego. Jeśli pomimo to z ławością godzimy się na propozycję Grupy, chcemy przez to dać wyraz naszej serdecznej życzliwości dla młodych pisarzy, oraz radości, że nie wahają się oni wystąpić pod znakiem wyraźnie katolickim. Witamy ich na łamach naszego pisma życzeniem: Szczęść, Boże!*”. Młodzi poeci piórem Janczarskiego dziękowali za zaproszenie, a on sam, przedstawiając Wołyn literacki wymienił wśród czterech pism ważnych dla życia literackiego „*Życie Katolickie*”.

Piszący o tej grupie literackiej nie sięgnęli jeszcze do wątku wiary. W sposób naturalny tworzy ona głęboki fundament tej poezji, jak leży u korzeni życia. By użyć przerośniętych, pejzaże nie tylko zdomowiają się w tekście, ale też w modlitwie, jak w „*Pragnieniu*” Bardczaka: „*plusk Horynia przeszeptać słowem w modlitwę*”. Tworzy klimat tej poezji, nienarzucający się zrazu czytelnikowi, niejako rozsypany wśród wierszy, choć są wśród nich perełki, jak „*Koleśda*” Janczarskiego czy „*O Leśnym Bogu*” Milczarka. Na tym właśnie polega jego znaczenie – ta dyskretność to cecha samej natury wiary „*codziennej*”, zwykłej. O nią prosili i zabiegali obaj księża redaktorzy.

Wydaje mi się, że ten wątek mógłby wzbogacić język analizy poetyckiej tych właśnie poetów, może byłby jak ewangeliczna odrobina drożdży, co zakwasza całe ciasto?

Kiedy ks. Redaktor „*Wołania z Wołynia*” przeczytał wiersze Bardczaka, napisał mi: „*Bukowiński, Chmielnicki, Bard-*

czak... Jaki ten Wołyn bogaty”, nieświadomie powtarzając tytuł owego niewydanego zbiorku poety. Może przyszła na to pora.

Maria Kalas

Przypisy:

[1] Poetykę członków Grupy Literackiej Wołyni (Czesława Janczarskiego, Wacława Iwaniuka, Władysława Milczarka i nieco starszego Jana Śpiewaka) na podstawie wydanych tomików poetyckich omówiła Jadwiga Sawicka w książce: „*Wołyn poetycki w przestrzeni kresowej*”, Warszawa 1999. Waldemar Michalski omówił twórczość ich na łamach „*Akcentu*”: „*Odkryć Wołyn na nowo (Czechowicz, Iwaniuk, Łobodowski, Czaykowski)*”, nr 3 / 2017. Wśród wymienianych poetów w obu wypadkach brakuje nazwiska Bardczaka, choć Sawicka wymienia jeszcze nazwiska Zygmunta Rumla (przeszedł do grupy pod koniec 1936) i Stefana Szajdaka. Tadeusz Marcinkowski, jeżydy, który po wojnie wspominał poetę, napisał: „*Do dziś brak zbiorku Stefana Bardczaka*”, Tadeusz Marcinkowski, Małgorzata Ziemska, „*Skarby pamięci*”, Zielona Góra, 2013 s. 192.

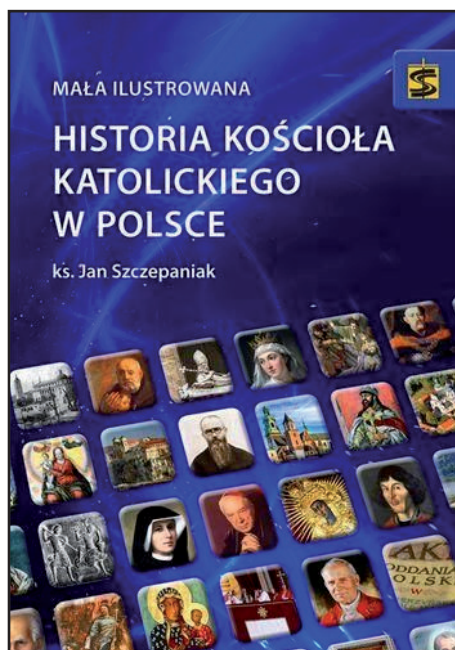
[2] Janczarski w artykule „*Ruch poetycki na Wołyniu*” („*Życie Katolickie*” nr 51 z 20 grudnia 1936, s. 806) uznał Bardczaka, mimo jego niedociągnięć za najzdolniejszego, najbardziej obiecującego poetę młodego Wołynia.

[3] Józef Czechowicz, „*Poezja Wołynia*”, Kurier Literacko-Naukowy nr 50 z 12 grudnia 1938, s. 8-9.



Sancti estote - Świętym bądźcie - Святими bądźте

MAŁA HISTORIA – WIELCY LUDZIE – KOŚCIOŁA



W roku stulecia odzyskania niepodległości przez Polskę 1918 – 2018 ukazała się szczególna książka–album, autorstwa ks. prof. Jana Szczepaniaka z Krakowa pt. «Mała ilustrowana historia Kościoła katolickiego w Polsce» (Wydawnictwo św. Stanisława BM, Kraków 2018, ss. 368). Autor w prosty, dostępny sposób ukazał w niej, że to właśnie wierzący mieszkańcy naszej Ojczyzny tworzyli wielkość Kościoła.

Na tym tle widać, jak silny jest związek między dziejami Kościoła katolickiego, a historią państwa i narodów go zamieszkujących, bo przecież przez wiele stuleci była to Rzeczpospolita wielu narodów.

Niezwykle przyjemnym dla mnie, Czytelnika z dawnych Kresów II Rzeczypospolitej jest to, iż w gronie narodowych bohaterów przedstawionych w omawianej książce jest aż pięciu wielkich ludzi Kościoła pochodzących z Wołynia i Polesia lub takich, którzy związali swe życie z tym regionem. Są to w kolejności chronologicznej:

«Św. Józefat Kuncewicz – męczennik jedności Kościoła» – s. 108-113;

«Św. Andrzej Bobola – gorliwy krzewiciel wiary» – s. 114-119;

Św. Zygmunt Szczęsny Feliński: «Nie może być kompromisu ze złem» – s. 188-193;

Bł. o. Jan Beyzym: «Nowe pokolenie polskich misjonarzy» – s. 216-221;

Bł. ks. Władysław Bukowiński: «Zanieść każdemu Boga» – s. 292-297.

Wypadałoby to grono poszerzyć jeszcze o kilka postaci, takich jak chociażby Sługa Boży o. Serafin Kaszuba OFMCap. czy Sługa Boży biskup Adolf Piotr Szlązek. Na naszą pamięć i wdzięczność zasługuje także 55 męczenników Ziemi Wołyńskiej okresu II wojny światowej... Może Autor uczyni to w kolejnym wydaniu swego dzieła lub w innych książkach. *Sancti estote – świętymi bądźcie...*

ks. Witold-Yosif Kovaliv
vel ks. Witold Józef Kowalów



Poezja - Поезія

Stefan BARDCZAK

RÓWNE NOCĄ

Umilkły ulice jak mechanizm w zepsutym zegarze
i wnet pełną piersią odetchnęły domy,
słuchacze referatów, które nikogo nie obchodzą,
w tępych uporze zacięli prostokątne twarze,
by nikomu
nie wyszeptać tajemnic, co wewnątrz się rodzą.

Pędem ulicami galopadą – rejteradą
spłoszone latarnie
uciekają dwurzędem,
noc je u brzasku w zapaskę śniadą
jak kurczęta zgarnie – –
droga na wschód prowadzi tamtędy.

Zawróćcie na północ za Wielkim Wozem,
za wami księżyc,
miast wszystkich i miasteczek honorowy obywatel,
właśnie nad Równem jak nad obozem
dzwon nieba naprężył
i w pierwszą uderzył na apel.

Uchyliła się jakaś brama – lekko jak powieka we śnie,
spóźnionych gości wypchnęła kawiarnia
i tylko cień jak pies za nimi pobiegł,
a już na wschodzie (jak to latem wcześniej)
brzask kurzawę mgieł znad czoła zgarnia
i wstaje leniwo jak człowiek.



Wśród książek - Серед книжок

Z ZIEMI CMEN+ARNEJ

Książka autorstwa Feliksa Budzisz pt. „Z ziemi cmentarnej” (Gdańsk 1998) jest jednym z najtragiczniejszych dokumentów opisujących tragedię Polaków na Wołyniu podczas II wojny światowej. Otrzymałem ją w niezwykłych okolicznościach. Pod koniec października 2013 r. z żoną i grupą przyjaciół, z byłymi żołnierzami 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej na Wołyniu, z zesłańcami syberyjskimi oraz członkami Towarzystwa Miłośników Wołynia i Polesia Oddział w Chełmie uczestniczyliśmy w uroczystościach związanych z obchodami Święta Zmarłych w Rymaczach i Zasmykach na Ukrainie. Na zasmyckim cmentarzu poznałem Danutę Orłowską z domu Budzisz, mieszkankę Chełma, która przy grobie swojej matki, Stanisławy Budzisz, opowiedziała nam tragiczne losy swojej rodziny w czasie II wojny światowej. Proszona przeze mnie o dalszą opowieść, wyjawiała, że jej brat, Feliks, wydał książkę, w której bardzo szczegółowo, niemal dzień po dniu, noc po nocy, opisał dzieje nie tylko ich rodziny, ale i innych rodzin wołyńskich w czasie ukraińskiego pogromu ludności polskiej w tych stronach.

Po przyjeździe do Chełma, gdzie mieszka pani Danuta, otrzymałem od niej w darze tę książkę. Prof. dr hab. Władysław Filar, recenzując książkę Feliksa Budzisz, napisał:

„Wspomnienia Feliksa Budzisz «Z ziemi cmentarnej» stanowią swoisty dokument historyczny, uzupełniający niejako dotychczasową literaturę naukową traktującą o samoobronie i tworzeniu 27 WDP AK. Opisują zachowanie zwykłych ludzi wobec śmiertelnego zagrożenia, ich przeżycia, tragedie rodzinne, walkę o ojcowiznę i przetrwanie. Te właśnie elemen-



ty, łączące losy Polaków, osobiste tragedie, jakie towarzyszyły tym wydarzeniom, są mało znane szerszemu ogółowi społeczeństwa. Z tych względów zasługują na wydanie, aby ślady polskości na ziemi wołyńskiej i tragedię jej mieszkańców utrwalić w pamięci pokoleń”.

Jest to książka wstrząsająca.

„Wołyń – największe cmentarzysko Europy” – pisze w niej autor. „/.../. W wyniku depolonizacyjnych akcji eksterminacyjnych, przeprowadzonych przez OUN-UPA, tylko na Wołyniu zamordowano w latach 1942-45 około 60 tys. ludności polskiej, a na całych kresach z rąk wszelkiej maści ukraińskich nacjonalistów i nazistów kilkadziesiąt tysięcy obywateli polskich II Rzeczypospolitej, w tym wielu Ukraińców przychylnych Polakom i sprzeciwiających się terrorowi OUN-UPA”.

Dziadkowie Feliksa i Danuty Budzisz, Jan i Dominika Sobczykowie (rodzice mamy), z pięciorgiem dzieci, w 1922 r. osiedlili się w Radowiczach na ziemi wołyńskiej, gdzie „kupili kilkanaście hektarów podmokłego olszowego lasu, który w ciągu kilku lat zamienili w uprawne pola i użyteczne łąki. Postawili budynki i założyli wiśniowy sad /.../. Dzięki wyteżonej pracy wszystkich członków rodziny wkrótce zapewnili sobie znośne warunki bytowania”.

Rodzicami Feliksa i Danuty byli Stanisław Sobczyk i Władysław Budzisz, osadnik przybyły na Wołyń w 1928 roku. Również dwie siostry pani Danuty wyszły za mąż za osadników przybyłych na Wołyń. Najmłodsza Maria – za Jana Stefanowicza, wnuka powstańca styczniowego z 1863 r. i syberyjskiego zesłańca. W Kraśnem koło Rejowca Fabrycznego pozostał jeden z braci matki, Feliks Sobczyk, który był administratorem majątku hr. Pawła Gutowskiego.

Feliks Budzisz opisuje wydarzenia na wołyńskich Kresach z ostatnich czternastu lat II Rzeczypospolitej: w retrospekcji sięga do najwcześniejszych, szczęśliwych lat swego dzieciństwa, tj. do lat 1930-1939:

„Życie osadników kresowych w tamtych trudnych, kryzysowych czasach było wyjątkowo trudne, wymagało wiele znoju i mozołu, by utrzymać rodzinę, zapłacić podatki czy raty za kupiony grunt i odłożyć trochę grosza na budowę dachu nad głową /.../. W drugiej połowie lat trzydziestych warunki materialne osadników znacznie się poprawiły /.../. Nasze warunki również uległy znacznej poprawie. Ojciec otrzymał posesję gajowego w lasach hr. Stanisława Starczewskiego, a po roku został ich administratorem, co przyniosło nam znaczne korzyści /.../. W 1936 r. zamieszkaliśmy w specjalnie zbudowanej

gajówce tuż obok wysokiego, wiekowego, rozłożystego dębu, skąd rozpościerały rozległe, piękne widoki. /.../. Dnia 1 września 1938 r. rozpocząłem naukę w miejscowej szkole drugiego stopnia”.

Dalsze wydarzenia, co podkreśla autor we Wstępie, obejmują „epizody z okupacji sowieckiej, zwanej czerwoną (1939-41) oraz lata najtragiczniejsze dla Polaków – okupację hitlerowsko-ounowską (1941-44). Pod tą okupacją Kresy Południowo-Wschodnie II Rzeczypospolitej stały się w latach 1943-44 terenem najkrwawszych wydarzeń w naszej historii, a może i historii Europy. Na mniejszość polską, udręczona sowiecką okupacją, a następnie niemiecką, spadł śmiertelny cios. W końcu 1942 r. ujawnił się tam znacznie okrutniejszy okupant – Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów i jej «zbrojne ramię» Ukraińska Powstańcza Armia. Te obie organizacje, biorąc za wzór hitlerowskie metody eksterminacji Żydów, w której niemały miały udział, wydały wyrok śmierci na ludność polską Kresów: Wołynia, południowego Polesia, Małopolski Wschodniej i wschodnich powiatów Lubelszczyzny i Rzeszowszczyzny. Na bezwzględne wytepienie skazano ludność polską od niemowlęcia do starca i wyrok ten realizowano z największą zjadłością i okrucieństwem, przechodząc od mordów na pojedynczych osobach, rodzinach do masowych rzezi.

/.../. Przerazający obraz zbrodni, dokonywanych przez OUN-UPA, potęgują do niewyobrażalnych rozmiarów tortury, jakim poddawano ofiary. Śmierć od kuli była najłżejsza i o nią modliły się ofiary, gdy gasły nadzieje na uratowanie życia”.

W sierpniu 1943 r., rodzina Feliksa Budzisz, ostrzeżona przez sąsiada i przyjaciela Ukraińca, Aleksandra Hawryluka, o zaplanowanej przez OUN-UPA w dniach od 25 do 30 sierpnia tego roku likwidacji

cji ludności polskiej w Radowiczach, pod osłoną nocy przedostała się do wsi Zasmyki, gdzie polscy partyzanci z 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej stworzyli jedną z najsilniejszych baz samoobrony Polaków na Wołyniu.

Rzeczywisty czas akcji zamyka się datą 13 sierpnia 1944 r., kiedy to ocalały z pogromu autor, wówczas 14-letni chłopiec, wraz z młodszą o dwa lata siostrą Danutą, dziadkami Sobczykami oraz grupą mieszkańców z Radowicz i okolicznych wsi „*taborem po piaszczystym trakcie*” dotarli do Dubienki.

„*Dnia 12 sierpnia 1944 r., w upalne przedpołudnie, z nadzieją na laskawy los opuściliśmy Radowicze, tym razem na zawsze./.../. Zaraz za Sołowiczami minęliśmy kolonię Kustycze /.../. Dopiero wiele dziesiątków lat później Wołyniacy dowiedzieli się, że w tej miejscowości 11 lipca 1943 r. banderowcy rozerwali kołmi polskich parlamentarzystów: Zygmunta Rumla, komendanta BCH na Wołyni, wspaniale zapowiadającego się poetę, jego oficera do zadań specjalnych Krzysztofa Markiewicza i przewodnika Witolda Dobrowolskiego./.../. Nazajutrz, w godzinach popołudniowych nagle rozpostarły się przed nami rozległe krzaczaste łąki doliny Bugu /.../. Z lewej strony widniały zabudowania Dubienki /.../. Po chwili dziedzi uroczyście i wzruszonym głosem powiedział:*

– *A teraz podziękujmy Opatrzności za ocalenie, za przeprowadzenie nas szczęśliwie przez pożogę.*

– *Ojcze nasz... Zdrowaś Mario.../.../.*

– *Pomódlmy się za tych, co tam – wskazał ręką za Bug – zostali na zawsze. Niech odpoczywają w pokoju!*

– *Ojcze nasz... Zdrowaś Mario...”.*

Jest to książka porażająca i przerażająca skalą okrucieństwa i bestialstwa wyrażonego człowiekowi przez człowieka.

„*Poćwiartowane zwłoki Zygmunta Rumla, Krzysztofa Markiewicza i Witolda Dobrowolskiego miejscowi Ukraińcy złożyli w lasku sosnowym na brzegu jeziora za wsią Kustycze, kilka kilometrów na południe od Turzyska. I tam w nieznanym miejscu spoczywają do dziś./.../. Nie chce się wierzyć, że nikt z mieszkańców Kustycz nie zna miejsca, gdzie spoczywają./.../. Lasom nadbużańskim przybyła jeszcze jedna bezimienna mogiła – nie kurhan, jak sobie poległy poeta zamarzył. Mogiła, której ślad zatarła przyroda*” – napisała żona poety Anna Rumel.

Jest to książka-ból, książka-rana, wciąż nie zablizniona, ociekająca krwią Polaków mordowanych przez nacjonalistów ukraińskich z OUN-UPA w czasie II wojny światowej na Wołyniu, w Zasmkach i okolicy, w powiecie kowalskim. Dla współczesnego czytelnika jest nie tylko pamiętnikiem, dziennikiem, wspomnieniem martyrologii Polaków na Kresach II Rzeczypospolitej, dokumentem historycznym wołyńskiej apokalipsy.

„*Bądź wola Twoja! Ale nie może być wolą Twoją, by mord i krwawe rozpasanie rządziło światem. Spraw, by za wolą Twoją opustoszały więzienia, by leśne doły przestały napelniać się trupami, by szatan ucieleśniony w człowieku nie świstał nad głowami naszymi biczem grozy*” – długo jeszcze mieszkańcy Wołynia powtarzali tekst tej modlitwy, którą Zygmunt Rumel, ten symbol męczeństwa ludności polskiej Kresów, jak nazwał go Feliks Budzisz, wręczył M. Lemińskiej, mieszkance wsi Budy Ossowskie, w której to wsi spędził ostatnią noc przed swoją męczeńską śmiercią.

Jest książką-pamięcią. W cytowanym już Wstępie autor napisał:

„*Pragnąłbym bardzo, by te wspomnienia były wyrazem smutnej pamięci i czci dla Tych, którym życie przecięła kainowa*

ręka i dla Tych, którzy w czas zagłady nie upadli na duchu i nie szczędzili krwi i życia dla ratowania bliźnich. Chwała im po wsze czasy”.

Chwałą tą i czią Feliks Budzisz obdarza też tych Ukraińców, którzy nie ulegli banderowskiemu nacjonalizmowi.

Ewa Górską, omawiając wspomnienia Feliksa Budzisz na łamach „Gwiazdy Morza” (nr 15-16/2003, s. 45,46), stwierdziła:

„Feliks Budzisz nie obwinia /.../ okolicznych mieszkańców o tragedię, która dotknęła polskie rodziny na Wołyniu. Miejscowych Ukraińców, którzy odnosiliby się do Polaków wrogo było niewiele – wspomina (Feliks Budzisz – przypis mój). Wprost przeciwnie, w naszej wsi było wielu nam życzliwych. Na przykład taki stary Ukrainiec /.../. To on uratował moich dziadków, uprzedził ich bowiem o planowanych akcjach eksterminacji, dzięki czemu mogli z domu uciec, w nocy donosił im żywność. Dopiero pod groźbą utraty życia zaprzestał się z nami kontaktować. Ukrainka uratowała też ciocię, którą ostrzegła i opowiedziała, jak zginęła jej teściowa, staruszka, zamordowana przez banderowców w swoim ogródku. /.../. W swojej książce przytacza też przykłady egzekucji dokonywanych na ludności ukraińskiej za pomoc Polakom”.

Książka kończy się rozdziałem pt. „Pół wieku później”.

13 września 1992 r. – relacjonuje autor – „do przejścia granicznego na Bugu Zosin-Uścitułg zmierza prawie dwukilometrowa kawalkada autokarów i samochodów osobowych. Jedziemy na Wołyn, do Zasmyk – jednego z największych środków samoobrony AK w latach 1943-44. W południe odbędzie się tam poświęcenie Cmentarza Wojennego 27. Wołyńskiej Dywizji Armii Krajowej, kryjącego prochy 86 akowców i kilkuset ofiar banderowskiego terroru./.../ Cmentarz uporządkowali /.../ żołnierze Dywizji /.../. Ogródenie z siat-

ki, wysoki metalowy krzyż oraz 89 krzyży nagrobnych, symbolizujących pochowanych tutaj akowców, wykonali Ukraińcy na własny koszt. /.../. Rozpoczyna się Msza Św. Głównym celebrantem jest biskup polowy S.L. Głódź w otoczeniu duchownych katolickich, grekokatolickich i prawosławnych /.../. Wzruszeniu poddają się i Ukraińcy. Przewodniczący rady rejonowej w Kupiczowie, dławionym silnym wzruszeniem, ocierając łzy, kończy przemówienie słowami: «Wyrządziliśmy Wam wielką krzywdę Przyjaciele Polacy. Wybaczcie nam!» Biskup Głódź część kazania wygłasza w języku ukraińskim, którego – wyznaje wzruszonym głosem – uczył się na Kołymie od współwzięniów.

Na słowa «przeżaćcie sobie znak pokoju!» Polacy i Ukraińcy reagują spontanicznie i bardzo emocjonalnie. Wymieniają uściski dłoni, padają sobie w objęcia”.

Jan Paweł II w liście skierowanym do zwierzchników kościołów w Polsce i Ukrainie napisał: „W 60 lat od tamtych smutnych wydarzeń w sercach większości Polaków i Ukraińców utwierdza się coraz bardziej potrzeba głębokiego rachunku sumienia”.

To przesłanie polskiego papieża najlepiej wyraża ideę tego utworu, którą autor zawarł w zdaniu:

„Niech z przelanej niewinnej krwi, niewyobrażalnych cierpień i łez zrodzi się PRAWDA o największym Kresowym Dramacie, a z niej PRZYJAŹŃ między bratnimi narodami – Polakami i Ukraińcami”.

11 lipca 2018 r., w 75. rocznicę tzw. Krwawej Niedzieli masowej eksterminacji polskiej ludności cywilnej na Wołyniu, urządzonej 11 lipca 1943 r. przez nacjonalistów ukraińskich, obejrzałem (nie pierwszy raz) w telewizji polskiej film Wołyn w reżyserii Wojciecha Smarzewskiego i – sięgnąłem – który to już raz – po książkę Feliksa Budzisz. Filmowa scena, jedyna z najbardziej bestialskich i najokrut-

niejszych, rozerwania końmi oficera Armii Krajowej przybyłego na rozmowy z Ukraińcami jest w rzeczywistości sceną bohaterskiej śmierci Zygmunta Rumla, oficera Armii Krajowej, poety, o którym wspominał F. Budzisz, a o którym Jarosław Iwaszkiewicz napisał: „Był to jeden z diamentów, którym strzelano do wroga. Diament ten mógł zabłysnąć pierwszorzędnym blaskiem”. Ileż – dziesiątków tysięcy – takich diamentów zostało zamordowanych przez nacjonalistów ukraińskich z OUN-UPA podczas wołyńskiej rzezi Polaków?

W 2014 roku m. in. na łamach „Powinności”, pisma kulturalno-społecznego ziemi chełmskiej, opublikowałem recenzję książki Feliksa Budzisa. Dzisiaj niczego bym w tej recenzji nie zmienił! Eugeniusz Wilkowski, doktor habilitowany, pracownik naukowy szkół wyższych na Lubelszczyźnie, założyciel i przewodniczący NSZZ Solidarność Wiejska w byłym województwie chełmskim, senator I i II Kadencji Parlamentu RP (1989-1994), publicysta, regionalista, twórca i redaktor naczelny wielu pism solidarnościowych na Lubelszczyźnie w latach 1980-1989, obecnie m.in. redaktor odpowiedzialny „Powinności”, w numerze 1 (19) z 2014 r.) tegoż pisma, napisał:

„Zbigniew Okoń zaprasza do lektury książki Feliksa Budzisa *Z ziemi cmentarnej zapisu wstrząsających, tragicznych wydarzeń na Wołyniu, a w ostatnim rozdziale o spotkaniu – niemal pół wieku później – także na Wołyniu, w Zasmykach, na okoliczność uporządkowania i poświęcenia cmentarza. Autor (Feliks Budzisz – przypis mój) nakreślił niezwykle bolesne rozdziały naszych dziejów, po ludzku odbierając, trudnych do zrozumienia. Nie można bowiem znaleźć racjonalnej odpowiedzi, w imię czego pojawił się ów bezkres ludzkiego cierpienia, wpisany w wymiar Kresów? Tak składa się, że uczestniczyłem w uroczystościach z września 1992*

roku. W późniejszych latach byłem kilka razy w tym miejscu. Od dziesięcioleci podejmuję wysiłek – historycznego i emocjonalnego – odczytania pulsu owych zatruwających rozdziałów. Z. Okoń za autorem ukazywanego dokumentu, ale i przesłaniem Jana Pawła II, upomina się o pamięć o nich, ale także o refleksję, która ma znaczyć relacje z Ukraińcami”.

14 lipcu 2017 r., w 74 rocznicę Krwawej Niedzieli na Wołyniu – zgodnie z tradycją, jak co roku – członkowie Towarzystwa Miłośników Wołynia i Polesia Oddział w Chełmie odwiedzili na Wołyniu zbiorowe mogiły 110 Polaków ze wsi Helenówka i 161 Polaków ze wsi Werba zamordowanych w lipcu 1943 roku przez ukraińskich nacjonalistów. Wykonane wspólnie z przyjaciółmi z Ukrainy parę lat wcześniej metalowe krzyże z tabliczkami w języku polskim i ukraińskim z informacjami o liczbie Polaków, którzy zginęli w lipcu 1943 roku w obu tych miejscowościach zostały zamalowane czarną farbą.

Stanisław Senkowski, prezes Towarzystwa Miłośników Wołynia i Polesia Oddział w Chełmie, na stronach portalu internetowego tegoż Towarzystwa napisał:

„Jeszcze w lipcu 2015 roku tabliczki te nie były uszkodzone. Ale już w lipcu 2016 roku na tabliczkach tych widoczne były zamalowane czarną farbą napisy informujące o liczbie zamordowanych Polaków. Ten akt wandalizmu Towarzystwo nasze na piśmie zgłosiło do Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie, ale to nie odniosło żadnego skutku. W dniu 22 lipca 2016 roku, gdy odwiedzaliśmy te miejsca, udało się nam częściowo odstończyć zamalowane napisy, ale w dniu 14 lipca 2017 roku stwierdziliśmy, że na tabliczce w Werbie napis ten został ponownie zamalowany. Dowodzi to, że na Ukrainie żyją banderowcy, którym prawda ta przeszkadza i starają się ją zamazać”.

Na tymże portalu internetowym, trzy lata później, 11 lipca 2018 r., Stanisław Senkowski odnotował:

„W sobotę 7 lipca 2018 roku bardzo wczesnym rankiem o godzinie 4.30 grupa 44 członków Towarzystwa Miłośników Wołynia i Polesia Oddział w Chełmie, udała się na uroczystości 75. rocznicy Krwawej Niedzieli na Wołyniu (...). Po dróż do Kisielina odległego od Chełma o 100 kilometrów przebiegała dość sprawnie i na czas dotarliśmy do byłego miasteczka, a teraz przypominającego zapomnianą wieś (...).

Uroczystość odbyła się przed fasadą ruiny kościoła pw. Niepokalanego Poczęcia NMP, który wybudowany był przez zakon karmelitów w 1720 roku i służył wiernym przez 223 lat a w dniu 11 lipca 1943 roku został zmieniony w ruinę. Kisielin jest symbolem barbarzyństwa ukraińskich nacjonalistów...

Koncelebrowanej mszy świętej przewodniczył ks. bp Stanisław Szyrokoradiuk Ordynariusz Diecezji Charkowsko-Zaporoskiej, który wygłosił, dość dobre kazanie skierowane do Ukraińców i ich sumienia. Obecni byli bp Witalij Skomarowski Ordynariusz Diecezji Łuckiej i bp emeryt Marian Buczek z Charkowa. W koncelebrze uczestniczyło jeszcze 12 księży w tym ks. Jan Buras z Zamłynia, ks. Jan Puzon z Hrubieszowa, ks. Antoni Świerkowski z Chełma. W uroczystości uczestniczył biskup metropolita Eparchii Wołyńskiej Michał Zinkewycz, który na miejsce uroczystości przybył procesyjnie z wiernymi prawosławnymi i księżmi z miejscowej cerkwi. Na zakończenie uroczystości przemówił do uczestników uroczystości.

W uroczystości uczestniczył biskup metropolita Eparchii Wołyńskiej Michał Zinkewycz, który na miejsce uroczystości przybył procesyjnie z wiernymi prawosławnymi i księżmi z miejscowej cerkwi. Na zakończenie uroczystości przemówił do uczestników uroczystości.

W uroczystości uczestniczył ambasador RP na Ukrainie Pan Jan Piekło i Konsul Generalny RP w Łucku Pan Wiesław Marian Mazur. Nie zauważyliśmy, aby w uroczystości uczestniczyli przedstawiciele władz ukraińskich nawet z najniższego szczebla.

Oprócz naszej grupy, w uroczystości uczestniczyła ponad 40 osobowa grupa z Chełmskiego Środowiska 27 WDP AK, (...) z Parafii Chrystusa Odkupiciela w Chełmie (...), wielu polskich motocyklistów odbywających Wołyński Rajd Motocyklowy. Spotkaliśmy naszych znajomych z Towarzystwa Kultury Polskiej im. Tadeusza Kościuszki w Łucku na czele z Panią Prezes Niną Poremską.

Po zakończonej mszy złożone zostały wiązanki kwiatów i zapalono znicze na wspólnym grobie pomordowanych obok kościoła”.

Wspomnienia „Z ziemi cmentarnej” Feliksa Budzisz to książka o Zagładzie i Pamięci. Jej lektura dla Polaków i Ukraińców jest doświadczeniem szczególnym. Staje się dla nich wyzwaniem „przekazania sobie znaku pokoju!”, czego dowodem jest ostatnia scena tej książki oraz zapisy Stanisława Senkowskiego z obchodów 74. i 75. rocznicy Krwawej Niedzieli urządzonej Polakom na Wołyniu rzez nacjonalistów ukraińskich w 1943 roku.

Niech więc słowa Papieża Polaka Jana Pawła II wypowiedziane piętnaście lat temu „w sercach większości Polaków i Ukraińców utwierdzają (...) coraz bardziej potrzebę głębokiego rachunku sumienia i doprowadzą Polaków i Ukraińców do dnia, w którym” – jak pisze Feliks Budzisz – „z przelanej niewinnej krwi, niewyobrażalnych cierpień i łez zrodzi się PRAWDA o największym Kresowym Dramacie, a z niej PRZYJAŹŃ między bratnimi narodami – Polakami i Ukraińcami”.

Zbigniew Waldemar Okoń



Modlitwa - Молитва

LITANIA DO BŁ. KS. WŁADYSŁAWA BUKOWIŃSKIEGO



Kyrie, elejson. Chryste, elejson. *Kyrie, elejson.*

Chryste, usłysz nas. *Chryste, wysłuchaj nas.*

Ojcie z nieba, Boże, *zmiłuj się nad nami.*

Synu, Odkupicielu świata, Boże,

Duchu Święty, Boże,

Święta Trójco, Jedyny Boże,

Święta Maryjo, pokorna służebnico i pocieszycielko strapionych,
módl się za nami.

Bł. Władysławie, sługo Opatrzności Bożej,

Bł. Władysławie, apostołe Kazachstanu,

Bł. Władysławie, misjonarzu i szafarzu miłosierdzia Bożego,

Bł. Władysławie, obdarzony darem heroicznego przebaczenia,

Bł. Władysławie, przykładzie ufności i cierpliwości,

Bł. Władysławie, posłuszny natchnieniom łaski Bożej,

Bł. Władysławie, nieugięty w wypełnieniu woli Bożej,

Bł. Władysławie, kapłanie według Serca Bożego,

Bł. Władysławie, miłujący Jezusa i Kościół,

Bł. Władysławie, mistrzu modlitwy różańcowej,

Bł. Władysławie, wychowawco do wiary i miłości,

Bł. Władysławie, przykładzie roztropności i męstwa,

Bł. Władysławie, niezłomny świadku prześladowanych,
Bł. Władysławie, opiekunie rodzin,
Bł. Władysławie, patronie więźniów, zesłańców i emigrantów,
Bł. Władysławie, obrońco ubogich i strapionych,
Bł. Władysławie, wzorze patriotyzmu i orędowniku rodaków,
Bł. Władysławie, kapłanie wierny w czasach próby i beznadziei,
Bł. Władysławie, niosący radość i pokój,

Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, *przepuść nam, Panie.*
Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, *wysłuchaj nas, Panie.*
Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, *zmiłuj się nad nami.*

W. Módl się za nami błogosławiony Władysławie.

O. *Abyśmy się stali godnymi obietnic Chrystusowych.*

Módlmy się:

Boże Ojcze, który zleciłeś duszpasterską posługę Twemu słudze ks. Władysławowi nawet w więzieniach i łagrach, obdarzając go wielką wiarą, odwagą i przebaczącą miłością, udziel i mnie tych samych darów potrzebnych do życia Ewangelią we współczesnym świecie. Za przyczyną Twego sługi wysłuchaj moją modlitwę i obdarz mnie łaską, której tak bardzo potrzebuję. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

